

ROK LIX

CENA NUMERU 1.40 gr.

okł. each
Nr. 17

BLUSZCZ



WARSZAWA, 24 KWIETNIA 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za drugi kwartał względnie za maj r. b. Czeki P. K. O. dołączyliśmy do numeru 16-go.

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

OSTATNIE NOWOŚCI

Dąbkowski. Wędrowki rodzin szlacheckich (Heraldyka) . . .	zł. 4.—
Du Bourg. Z pola bitwy do Tra- pistów	2.80
Dygasiński. Gody życia	2.95
Gańczyński. Odród warzywny . . .	1.—
Gumowski. Jasna Góra (autolit.) . .	80.—
Iwaszkiewicz. Pejzaże senty- mentalne	4.50
Jagniątkowski. W legji cudzo- ziemskiej	—95
Kasztelowicz. Wallenrodyzm „Przedwiośnia”. Żerom- skiego	1.—
Kirkor. Trzy powiastki	1.80
Kraushar. Kamienica Kasztelańska .	1.50
Krzywiec. Łzy z obczyzny (poezje) .	1.50
Leblanc. Córka J. Balsamo 2 t. . . .	1.90
Matuszewski. Pisma t. I.	12.—
Mendés. Dziewiczy król	—95
Orkan. Opowieść o planetniku . . .	1.40
Rachilde. Myszką japońską	—95
Rodziejewicz. Niedobitowski z gra- niczno bastjonu	3.60
Sadowska. Wiedźma	—90
Słoiński. [Antologia współczesnej] poezji polskiej	—80
Sokołowska. Zaklęty młyn	1.20
Srokowski. Z dzikich pól (1919/20) .	2.—
Stępowski. Sad wśród miasta	3.60
Tomkowicz. Ulice i place Krakowa .	10.—
Wierzyński. Wirtuti militarij	1.20
Zahorowska. Zmartwychwstanie . . .	2.50
Zakrzewska. Illo tempore	1.—

PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY

D-ra J. ŚWITALSKIEJ

TO JEDYNY

PODRĘCZNIK HIGIENY KOSMETYCZNEJ

o tak wysokiej i wszechstronnej wartości.
Na całość składa się przeszło 20 ark.
druku i około 30 tablic ilustracji.

JUŻ NIEBAWEM OPUŚCI PRASĘ

Cena około 8 zł.

ŻMIJA EGIPSKA

(NAJA TRIPUDIANS)

„Mocno napisana i kosekwentnie zbu-
dowana powieść, wyświetlająca wiele pro-
blemów etycznych, niepokojących dzisiej-
sze społeczeństwo.”

Takie jest zdanie p. Z. Rabakiej o wyda-
nej naszym nakładem książce głośnej
autorki włoskiej

ANNIE VIVANTI

a świetnie przełożone i przez

p. T. JAKUBOWICZA

Zł. 3.— Z przesyłką poleconą 3.50.

NASZ DZIAŁ KSIĘGARSKI DOSTARCZY KAŻDĄ KSIĄŻKĘ

za cenę katalogową, doliczając tylko
koszt przesyłki przeciętnie 15 gr. od to-
mu plus 30 gr. polecenie za przesyłkę do
1 kg. wagi. Przy zamówieniach prosimy
o wnoszenie części należności.

PO 95 GROSZY TOM

Bruun. Szczęśliwe dni V. Zantena tom 1	1
Dumas. Anioł Pitou	5
„ Dama Kamelijowa	1
„ Józef Balsamo	12
„ Naszyjnik Królowej	7
„ Trzej muskietierowie	3
Dygasiński. Złamane życie	1
Jokaj. Atlantyda	1
Junosza. Na bruku	1
Leroux. Upiór w operze	2
Ligocki. Powrót Beatryczy	1
London. Martin Eden	4
„ Odyssea północy	1
„ Opowieści mórz	1
„ Prawo białego człowieka	1
„ Przygoda	2
„ Serce kobiety	1
„ Syn słońca	1
„ Wilk morski	3
„ Wyga	1
„ Zew krwi	1
Loti. Azyadea	1
Maupassant. Panna Fifi	1
Sieroszewski. Ol - Soni - Kisań . . .	1
Tetmajer. Anioł śmierci	2
„ Waterloo	1
Wells. Wehikuł czasu	1
Winawer. Lepsze czasy	1
„ Znajomek z Fiesole	1

WYBÓR KSIĄŻEK POCZYTNIEJSZYCH

Barszczewski. Polityka w lesie . . .	zł. 7.50
Conrad. Fantazja Almayera	2.50
„ Smuga cienia	1.95
„ Sześć opowieści	1.95
Dorożyńska. Na ostatniej placówce .	10.—
Farnol. Na szerokiej drodze	1.95
Grambaczewski. Wspom. myśliwskie .	4.—
Jacyna. 30 lat w stolicy Rosji	4.50
Kiedrzyński. Żona i nie żona	6.—
Krzewiński. Z dziejów tęsknoty . . .	—80
London. Odszczepieniec	1.95
„ Przygody w zatoce	
San Francisco	1.95
„ Wierność mężczyzny	1.40
Miciński. Wita	8.—
Milaszewska. Zatrzymany zegar . . .	3.20
Oppman. Stare miasto (poezje t. I) .	5.—
Ossendowski. Od szczytu do otchłani	10.—
„ Płomienie północy	
cz. I i II po	6.50
Perzyński. Raz w życiu	6.—
Rychliński. Meh-jong	4.—
Sabatini. Sokół morski	8.80
Skalkowski. Z dziejów insurekcji w 1794 r.	6.50
Słoiński. Maj ostatni (poezje)	1.—
Tetmajer. Księżniczka Metella . . .	2.—
Wierzyński. Pamiętnik miłości . . .	6.—
Yeats. Opowiadanie o Hanrahanie (t. 41 Laureatów Nobla)	5.—

ZBIÓR MONOGRAMÓW

ZOFII MACHOWICZOWEJ

TO NAUCZycIEL

Przyjemnej i pożytecznej robotki dla ko-
biet, gdyż zawierając ilustrowane wska-
zówki, czyni go użytecznym nawet dla
nie umiejących haftować.

JEST NIEZBĘDNY

w każdym oszczędnym i rzadnym domu.

Cena z przesyłką zł. 5.—



ROK LIX

BLUSZCZ

№ 1

WARSZAWA, 24 KWIETNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Ś. p. M. Grossek-Korycka. Niezdobyte odcinki—*J. Or.* W wytrwałej służbie—*C. Walewska*. Praca „od dołu”—*Helena Boguszewska*. O pewnych, niedostatecznie znanych sprawach życia codziennego—*Prawnik*. Wiersze: „Smutna historia o wierszu, który nie mógł być napisany”—*Felicja Kruszevska*. Strach—*G. N. Ordon*. W godzinie myszy—*Max Dautbenday* (tłum. *Z. Rabska*). Krystyna Rossetti (c. d.)—*Z. Reutt-Witkowska*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszancka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Życia i działalności kobiet—*H. C.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Przybranie ze skóry. Smoking—*W. D.* Plotki o modzie—*Well*. Historia rękawiczki—*Spero*. Pomarańcze i cytryny—*J. S.* Indyki—*H. B.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). TABLICA KROJÓW.

Ś. P. MARJA GROSSEK-KORYCKA

W dniu 15 kwietnia zmarła w Warszawie utalentowana poetka, Marja Grossek Korycka. Jej twórczość literacka łączyła w sobie natchniony poryw poezji z głębią niepospolitego umysłu. Rozległa wiedza, gruntowne przygotowanie filozoficzne, wybitne zdolności w kierunku nauk abstrakcyjnych nie odrywały jej zainteresowań od spraw życia realnego, od rzeczywistości.

Ś. p. Marja Grossek-Korycka miała rzadki dar prostej i jasnej oceny zjawisk życia. W swojej pięknej książce „Medytacje” mówiła: „Z mikroskopem nauki na oczach nie można chodzić po ulicach i drogach życia, ani patrząc przez teleskop, wycelowany ku gwiazdom, nie można budować domu i orać pola. Temu zadaniu mogą sprostać tylko dobre oczy”.



Ś. p. Marja Grossek-Korycka miała także właśnie „dobre oczy”. Gdy na łamach „Bluszcza” rozpoczęła drukować swój świetny feljeton: „Świat Kobiety”, potrafiła lapidarnością sformułowań i oryginalnością ujęcia tematu zafrapować musiała wszystkich czytelników.

Był to bowiem jeden z tych wiecznie żywych i wiecznie młodych umysłów — które interesują się tętnem dnia dzisiejszego i na skrzydłach intuicji wybiegają ku dniom jutrzejszym.

„Bluszcza” traci w ś. p. Marji Grossek-Koryckiej jedną z najbardziej zasłużonych współpracowniczek.

Literatura polska musi wykreślić z listy żywych talent głęboki i rzetelny.

Cześć jej pamięci.

NIEZDOBYTE ODCINKI



Skutkiem tego, iż świat po wojnie wyszedł z zawiasów, jest powszechnie dająca się zaobserwować bezideowość. Dawne hasła wskutek codziennego oglądania stały się obojętne jak najcudniejsze bodaj kwiaty na tapetach; trzeba dużo odwagi i geniuszu, ażeby odszukać i realizować nowe. W tej smutnej dobie bezkrólewia ideałów gubi się dzień po dniu, jak korale, mocną nicią niezwiązane. Tworzy się pustka i czczość duchowa, zapomina się o sensie i radości życia, o bezcennej wadze każdej mijającej bezpowrotnie chwili.

Inteligencja nasza chodzi luzem, nie związana istotnie z żadną klasą społeczną. Jest to „romantyczna Zosia, dziewczyna z tej wioski”, bujająca między niebem a ziemią, nie rozumiejąca rytmu współczesnego życia i jego potrzeb i w wielkich kataklizmach dziejowych, nie mająca znikąd osłony ani pomocy. Składa się bowiem z jednostek, a nie tworzy zwartego odłamu.

Na takim to tle powstają dzisiejsze typy kobiece.

Niech mi wolno będzie podzielić je, jak to jest we zwyczaju, na kobiety „pracujące” i „niepracujące”. Garść tych ostatnich staje się coraz mniejszą. Nie mówię o kobietach t. zw. niepracujących, które pełnią nieraz ciężką służbę domową, drepcąc w kieracie drobnych obowiązków od rana do późnej nocy. Coraz mniej już tych pań, które przejęły tradycje kapłanek domowego ogniska przy kaloryferze, nie wymagającym pracy; pani domu bez domu, matek rodziny bez dzieci. W owej vegetacji bez żadnego określonego zajęcia mogą się czuć dobrze jedynie kobiety pozbawione energii, zdrowia i temperamentu. Niema bowiem cięższego obowiązku nad kulturę nudy... Wszelkie romantyczne przygody awanturnicze, wszelkie zdrady małżeńskie, albo sztuczna pielęgnacja chorób, płynących z pustki i niewyładowania energii, łatwo się tłumaczą tego rodzaju egzystencją.

Coraz wyraźniej kształtuje się w nas nowa moralność, uznająca fakt próżniactwa za rzecz niemoralną, uważająca pracę za normalną czynność zdrowego organizmu.

Istotnie, o ile owe panie niepracujące są jednostkami uzdolnionymi i zdrowymi, muszą sobie stwarzać fikcję obowiązków, lub też szukać jakichś przygód lub ekstrawagancji życiowych. Osoby zadowolniające się tak roślinnym życiem i nie znajdujące ujścia dla energii życiowej, stają się istotnie godnemi litości.

Dziecko to wielka rzecz. Potrafi ono pochłoniąć czas, zając uwagę. Matka rozumna znajdzie w niem stokroć więcej radości i materiału do spostrzeżeń. Jednakże rzadko która kobieta poświęci umie dziecku cały swój czas bez zastrzeżeń, o ile warunki pozwalają na wyręczenie.

Ileż mamy kobiet bezdzietnych, ile panien żyjących w próżni, którą wypełnia nuda i zniechęcenie.

Kobiety, ciężką walką zdobywające byt, mniej mają czasu na rozmyślanie i tęsknoty. Jednakże stają mi przed oczami szeregi bladoliczych panienek, wygrywane mechaniczne gamy na maszynach do pisania... Praca zarobkowa kobiet jest w lwiej części bezmyślną, automatyczną, nie dającą żadnego zadowolenia, radości twórczej, ani zaspokojenia ambicji. Wypełnia tylko czas, ale nie wypełni owej próżni ideowej.

Nic dziwnego, że w tych warunkach spotykamy

mnóstwo typów znęcanych, znudzonych, nie mających żadnego celu w życiu, czekających jak kania deszczu miłości. Nic dziwnego, że jeśli miłość nie przyjdzie, albo zawiedzie, albo nie jest zdolna wypełnić wszystkich tęsknot i wymagań, wytwarza się pesymizm, lekceważenie życia, chęć przepędzenia tych wlokących się żółwio dni.

Czyż nie jest to podkład, na którym możliwe i wytłumaczonymi są samobójstwa, których notujemy tak wiele. Samobójstwa, nawet nie płynące z wielkich wstrząsów i tragedii, tylko z beznadziejnego stwierdzenia: nie warto żyć! Stąd płynie rubryka tragiczna o „nurtach Wisły”, „esencji octowej”, która stała się zbyt banalną, ażeby ją odczuwać powszechnie jako dramat.

Jakiż stąd wniosek? Należy związać życie jednostki ze społeczeństwem, ażeby poczuło rytm wspólnej pracy, rytm jednakich dążeń, konieczność wysiłku, nieodzowność swojego w nim miejsca, niezmierną wagę swojej, nieznaczonej choćby, ale potrzebnej sprawy.

Wszyscy pamiętamy chwile tych krótkich spięć jednostki ze społeczeństwem, okresy wielkich entuzjazmów, które kraj jedną łuną ogarniały. Nie było wtedy osoby, która nie wiedziała poco żyć, było wiele takich, które poświęcały czas i życie, ale z całym zrozumieniem wielkości i wagi tego gestu.

Wybuch wojny przyniósł ze sobą taki entuzjizm i taką ofiarność powszechną, żywiołową, aż radosną. Niepodobieństwem było nie uczyć się samarytaństwa, nie pędzić na etap żywnościowy, nie opiekować się wszystkim i wszystkim. Było nawet coś nieopanowanego i nierozumnego w tym ruchu, który nieraz w owczy pęd się przeradzał. Pędził każdy, kto żył, kto w Boga wierzył, byle coś zrobić dla powszechnej sprawy. A wojna 20 roku, wojna pełna cudów ofiary? Były to chwile osobiwe.

Od czasu, jak Polskę mamy i obroniliśmy, fala społecznych entuzjazmów odpłynęła zdecydowanie.

Osoby, które strawiły życie na pracy publicznej, konspiracyjnej i te, które debiutowały w czasach wojny, uznały, że dopięły celu. Młode, wychowane w warunkach niepodległości, niewidzą potrzeby tej pracy. Istnieje wszędzie przeświadczenie, że Polska to rzecz gotowa, a nie ojczyzna, którą ciągle i niezmordowanie, na każdym odcinku trzeba zdobywać. Bo tak jest istotnie. Wprawdzie coraz bardziej krystalizują się wymagania, coraz wyższe i bardziej różniczkowane potrzebne są do każdej pracy kwalifikacje, ale pole jeszcze jest nieogarnione.

Nie jesteśmy zwolennikami pracy filantropijnej, wykonywanej z pewnym słodkokwaśnym uśmiechem lekceważenia; pragnęlibyśmy, żeby praca kobiet pozwalała im się utrzymać, a jednocześnie wypełniała czas i dawała rozumną rozkosz tworzenia rzeczy pożytecznych.

Chcielibyśmy, ażeby pracę społeczną wykonywali oddani jej i przyzwyczajeni płatni fachowcy. Zanim jednak tak się stosunki ułożą, b. dużo wody w Wiśle upłynie. Dzisiaj jest jeszcze koniecznością, ażeby wszystkie te osoby, którym praca ani obowiązki czasu nie wypełniają, znalazłszy istotny swój cel i obowiązek w pracy społecznej, żeby oddały marnujące się siły wielkiemu celowi europeizowania Polski, wytwarzania kultury na wszystkich tak zaniedbanych polach, zwłaszcza na niezmiernych marnowcach prowincji. Trzeba wciąż powtarzać sobie, że Polska nie jest gotowa, że trzeba ją wciąż i na każdym odcinku zdobywać.

W WYTRWAŁEJ SŁUŻBIE

Związek zawodowy kobiet polskich pracujących w handlu i biurowości obchodził niedawno dwudziestolecie istnienia swego. Dla upamiętnienia chwili wydał w rękopisie maszynowym kronikę działalności zrzeszenia. Rok po roku z benedyktyńską sumiennością wynotowane są tam dzieje organizacji. Suchy skrypt ma w sobie zatajone tętno krwi żywej. Czy są bowiem zadania i sprawy, któreby nie musiały być związane ściśle z całokształtem wypadków, zmieniających w tym okresie czasu co lat kilka warunki bytu narodu? Jak na szarej kanwie rozsnuwają się na tle zwieźlej historii Związku wszystkie wstrząsy pokoleń ostatniego ćwierćwiecza.

Cenzura i podejrzliwość rosyjska? Tak. Cztery lata trwały starania o legalizację instytucji, która pierwotnie, aż po 1920 rok nosiła miano „Stowarzyszenia kobiet pracujących w przemyśle, handlu i biurowości”. Cztery lata składanych w różnej formie podań, przerabianych niezmordowanie ustaw. Cztery lata deptania od dygnitarza do dygnitarza, napróżno.

Gdy dziś widzimy, z jaką łatwością rząd nasz zatwierdza statuty obywateli polskich narodowości rosyjskiej (ostatniemi czasy np. statut politycznej organizacji „Rosyjskie Zjednoczenie ludowe w Polsce”), to przyznać musimy, że nauka Chrystusa o chlebie zamiast kamienia tkwi w nas głęboko.

Po manifestie październikowym 1905 r. wznowiono starania zpowrotem i w dniu 8 lipca 1906 r. nareszcie ustawa została zatwierdzona.

A potem, ileż jeszcze trudności! Od 1911 r. gdy znikły echa rewolucyjnej wiosny, znowu represje. Każdy referat do cenzury. Czułość nazewnątrz i nawewnątrz, żeby jakim fałszywym krokiem nie narazić bytu organizacji. Za czasów okupacyjnych obowiązkowe zawiadamianie „Polizei—Praesidium” o każdym zebraniu w łonie Stowarzyszenia i detektyw cywilny, notujący skrzętnie jego przebieg.

Wszystko przetrwały dzielne i mądre kobiety. Połowę energii trzeba było zużywać na odwalanie głazów, rzucanych pod nogi przez rządy zaborcze, a jednak praca szła.

Celem Stowarzyszenia było wyrobienie poczucia solidarności koleżeńskej, zdobywanie coraz lepszych warunków bytu i pracy, pomoc materialna dla bezrobotnych, zabezpieczenie starości, udoskonalanie się zawodowe, wreszcie zacieśnianie węzłów koleżeństwa przez obcowanie towarzyskie i jak najszerszy udział w życiu społecznym.

Wszystkie te zadania jak najskrupulatniej spełniło zrzeszenie. Na czele jego stanęły najwybitniejsze jednostki—żyjące po dzień dzisiejszy weteranki ruchu kobiecego. Nazwisk ich kronika dziejowa Związku nie podaje. Jak nie wysuwały się bowiem nigdy na czoło reklamowanych wielkość i w zakresie czynu społecznego, tak i tutaj milczą o sobie, zbiorowości swojej tylko przypisując dźwiganie się Związku na drodze postępu. W załączniku do skryptu maszynowego spotykamy jedynie nazwiska dawnych i obecnych członków zarządu: J. Englertowej, Z. Dobrzańskiej, W. Stokowskiej, E. Waśniewskiej, M. Stanowskiej, J. Golfartówny, Z. Sędzimirówny, M. Taylorowej i innych. One to mówią, kto był tym duchem twórczym zrzeszenia.

Od pierwszej chwili powstania swego Związek organizuje się silnie wewnętrznie, żeby później już

zwartą grupą występować nazewnątrz. Utworzono przede wszystkim Wydział (później Sekcję) samokształcenia, która objęła nadzór nad zorganizowaniem przez zarząd Wieczornemi Kursami handlowymi i Kursami obcych języków.

Dzięki ofiarności członkiń wykłady początkowo prowadzone były bezpłatnie przez jak najbardziej wykwalifikowane siły. Z czasem kursy te, zatwierdzone przez Min. W. R. i O. P., zostały oparte na pracy płatnej i otrzymały prawo wydawania świadectw. Z darów członkiń zapoczątkowano czytelnię i bibliotekę, która ma około 300 abonentek i wydaje przeciętnie 5000 tomów rocznie. W 1912 r. powstała Sekcja (później Wydział) statystyczny, mający na celu zgromadzenie danych ilościowych, co do biuralistek, pracujących w chrześcijańskich firmach przemysłowych i handlowych. Wydział pracował dwa lata. Wysłał ogółem 3109 kwestionariuszy i otrzymał 1795 odpowiedzi. Sporządził tablice ilościowe, jakościowe i porównawcze, opracował referat i sprawozdanie ze swej działalności, przedstawiając to wszystko następnie na I Zjeździe kobiet polskich w Krakowie. Z czasem, już w 1916 r. zorganizowano Komitet prawny, który wysunął trzy naczelne zadania: 1) Ochrona macierzyństwa kobiet pracujących. 2) Wprowadzenie inspektorek fabrycznych. 3) Dopuszczenie kobiet do urzędów państwowych. Szereg referatów i odczytów, wygłaszanych bądź w siedzibie Związku, bądź publicznie, wiązał się ściśle z pracą handlową, biurową, przemysłową („Kobieta w przemyśle”, „O najmie pracy”, „O zrównaniu pracy zarobkowej kobiet z pracą mężczyzny”), lub wkraczał w dziedzinę ekonomii politycznej, ubezpieczeń emerytalnych, chorób zawodowych, praw kobiety w samorządzie i t. p.

Dla uchronienia członkiń od bezrobocia podjęto zalegalizowane już dziś przez władze polskie „Społeczne biuro pośrednictwa pracy”. Nie zapomniano też o rozrywkach i higienie. Sekcja wycieczkowa powzięła zwiedzanie Warszawy i jej okolic, możliwie pieszo, żeby przeciwdziałać szkodliwym następstwom pracy siedzącej. Najliczniejsza była wycieczka na pamiętną wystawę przemysłową w Cęstochowie 1909 r.

Stworzono również sekcję sportową i sekcję rozrywek, która urządziła wieczornice towarzyskie i zorganizowała chór śpiewaczy. W 1907 r. założono „T-wo Spółdzielcze Kuchni Higienicznej”, dla zapewnienia kobietom, pracującym poza domem, zdrowego pożywienia. Częstym gościem, a nawet pełniącym dyżury w tej kuchni, był obecny prezydent Rzpl. Polskiej, p. St. Wojciechowski.

Z chwilą wybuchu wojny w 1914 r., gdy zaczęły się masowe wydalenia handlowczyń i biuralistek, powstała samorządnie Sekcja Pomocy Koleżeńskej. Zajęto się wyszukiwaniem pracy dla bezrobotnych, urządzono dla nich tak samo, jak i w rok później dla wydanych przez Niemców telefonistek, bezpłatne kursy języków i handlowości, oprocentowano się dobrowolnie dla stworzenia funduszu pożyczkowego—zapomogowego, założono sklep z artykułami pierwszej potrzeby, kupowanymi hurtowo, a sprzedawanymi po cenach kosztu.

Z tą bujną pracą wewnętrzną związana była ściśle praca nazewnątrz. Związek (400 czł.) bierze udział we wszystkich poczynaniach społecznych i narodowych, które stwarza potrzeba chwili. Pra-

cuje w Komitecie Obywatelskim, Kom. pomocy dla inteligencji, w Patronacie nad młodzieżą rzemieślniczą, w Straży i Poczcie Obywatelskiej, w Komisji Społecznej przysposobienia kobiet do obrony kraju, w Centralnej organizacji pracowników umysłowych, w Komitecie do spraw bezrobocia, w Kole Opieki nad Ochotn. Legją Kobiet. Urządza kursy ratownictwa. Kwestuje na rzecz Macierzy Szkolnej i Polki—repatriantom. Pracuje w Sekcji Finansowej Komitetu Górno - Śląskiego, w Komitecie Wyborczym do Sejmu i Senatu itd. itd. Na jednym tylko polu doznał niepowodzenia, mianowicie, gdy w 1920 r. wobec grozy bolszewickiej usiłował zespolic w jedną reprezentację kobiety różnych obozów. Próżno. Nie zrozumiano hasła łącznej służby społecznej i narodowej bez względu na klucze partyjne. Kapliczki stronnictwa nie mogły wyjść poza krąg ciasnego doktrynerstwa w ocenie pracy najofiarniejszej niezależnie od sztandarów jej zewnętrznych.

Ponad stronnictwa obywatelskie swe stanowisko zaznaczył Związek w każdej przełomowej godzinie życia narodu, przyjmując udział w najdonioślejszych obchodach i rocznicach pamiątkowych, posyłając delegatki swoje na wszystkie wybitne zjazdy krajowe i kongresy międzynarodowe z referatami, które wywoływały nieraz brzemienne w zasadnicze hasła jak np. powzięte na II Zjeździe Kobiet Polskich w Krakowie z wiosną 1914 r. zobowiązanie prowadzenia korespondencji handlowej z klientami narodowości niemieckiej i rosyjskiej w języku polskim jedynie. Poza tem był Związek w stałej łączności z innemi zrzeszeniami o charakterze pokrewnym. Współdziałał z Biurem Pracy Społecznej dla wytwor-

zenia placówki, na której kobiety mogłyby wypowiadać się w sprawach prawodawstwa, instalować swoje własne postulaty. Urządził łącznie z innemi organizacjami wystawę pracy kobiet w Pradze czeskiej w 1912 r., na którą wysłał tablicę graficzną działalności swojej. Otrzymał b. odpowiedzialne mandaty i przewodnictwo w Radzie Stowarzyszenia pracowników itp.]

Brak miejsca nie pozwala na dalsze wyliczanie plonów dwudziestoletniej działalności tej organizacji. Służyła ona i służy zawsze dobrem celom, nie zasklepiając się w ciasnej doktrynie, bacząc na wszystkie najpilniejsze potrzeby społeczno - narodowe i stając do współpracy z tymi, których wysiłek nigdy nie idzie na marne.

Związek jest dziś w pełni rozwoju. Na straży jego stoją rozumne i zabiegliwe działaczki społeczne, które wiedzą, że wiele jeszcze jest do zrobienia w sprawie organizacji zawodowej zwłaszcza kobiet, mimo iż nominalnie praca ich zdobyła równouprawnienie z pracą męską. Zaprawione w walce o każdą minimalną zdobycz weteranki te muszą kształcić młodsze koleżanki swoje w sztuce dobijania się o własne prawa i strzeżenia tych, które już mają. Muszą budzić w nich poczucie odpowiedzialności zawodowej i troskać o zabezpieczenie się na starość i zrozumienie obowiązków swoich względem bezrobotnych. Praca nie skończona.

Związkowi ze wszystkich stron towarzyszą życzenia, by nie tylko istniał nadal, ale rozwijał się z tem samem żywiołowem napięciem, jakie wykazał przez cały czastowania swego.

C. W.



HELENA BOGUSZEWSKA

PRACA „OD DOŁU“

Przyjeżdżam do zapadłej miejsciny, do takiego kąta, zabitego deskami, zdala od większego miasta, zdala od stacji kolei, zdala od wszystkiego wogóle. Tak się złożyło, że muszę tu przesiedzieć parę dni, w jakimś ponurym hoteliku, Centralu, Metropolu, Viktorji, czy Angielskim. Otoczyła mię zewsząd smutna nuda małego miasteczka, jego błotnistej rynku, sklepów, poczty, apteki i pierwszorzędnej „handlu“, przed którym we wtorki i piątki zatrzymują się furmanki, bryczki, niekiedy nawet powozy.

Snuję się po cichych, pustych ulicach, wśród domków i parkanów. Rozmawiam z ludźmi. Przyglądam się. Rozpytuję, jak żyją.

— Jest tu jakie życie towarzyskie? Kulturalne? Jakiś ruch umysłowy? Jakaś praca społeczna? Robi się co?

— Eee — teraz to nie. Teraz niema. Niby to ludzie łączą się ze sobą, trochę tej inteligencji trzyma się razem, ale właściwie, to niema żadnego ruchu, ani umysłowego, ani społecznego. Nawet towarzyski jest słaby: grają w karty, wieczorami „zimową korą“ tańce — i koniec. Cóż, proszę pan! Zapadły dat... dziura, wegetujemy!

— I tak było zawsze?

— O nie! parę lat temu było całkiem inaczej. Mieliliśmy stowarzyszenie kulturalne: Spójnia się nazywała. Urządzała ta Spójnia odczyty, przezrocza, kursa dla młodzieży robotniczej, przedstawienia amatorskie, koncerty. Była też wypożyczalnia książek, miał być klub i w nim czytelnia pism, ale to już nie doszło do skutku...

— Dlaczego? Nie było chętnych?

— Owszem, nawet nie to. Chętni byli, tylko że to wszystko organizował jeden człowiek. On tu był naczelnikiem poczty, przeniesli go do Dalekowic i tu wszystko upadło. Słyszałem, że tam już zorganizował jakieś kursa.

Tak. Naczelnik poczty z Kurzymina, przeniesiony do Dalekowic, musi być urodzonym „działaczem“.

W folwarku Grabowa Wola przy kopaniu ziemniaków pracuje gromada ludzi. Przyszli z okolicznych wsi, a że niektórym daleko wracać, więc zostają na noc. Są chłopcy, dziewczęta, dorocli, nawet starzy. Są między nimi głupi, mędrsi, zupełnie inteligentni, i tacy, którzy nic nie rozumieją, zupełnie ciemni. Ale ci z Zalesia wyróżniają się od innych

ogłada, wyrobieniem. Zupełnie inaczej z nimi się rozmawia. Odrzuca widać inny poziom.

— U nas w Zalesiu to nauczyciel bardzo pracuje, bardzo się „stara”. Wieczorami po lekcjach zbiera u siebie starszych, uczy, czyta im. Aż rodzice gniewali się, że odrywa od roboty, ale sprowadził z Warszawy instruktorkę na sześciotygodniowy kurs dla gospodyń, dla matek, i wiele się u nas zmieniło od tej pory. Teraz chce urządzić kurs hodowli bydła i koni.

Ten nauczyciel z Zalesia, to prawdziwy działacz oświatowy! Szkoda, że musi pracować w takich ciężkich warunkach, bo szkoła w Zalesiu to niska ciasna chałupa. A zaraz w sąsiednim powiecie widziałam kilka nowych szkół, bardzo porządnie wybudowanych.

— Bo tu znów sekretarz sejmiku bardzo dba o szkoły. On też założył szpital epidemiczny i w czasie tyfusu, to u nas mało kto umierał. Postarał się, żeby założyli u nas betoniarnię i mają robić w miasteczku chodniki. I drogi tu mamy lepsze...

Wiec jest to dziełem samorządowym! A piąta klasa jakiejś handlowki w jakimś Piechowie, to najlepsza klasa w szkole. I zachowuje się najlepiej, i uczą, i tak wogóle... założyły sobie jakąś biblioteczkę, i własny sklepik współdzielczy. Mają jakąś samopomoc, ze składek zapłaciły wpis za dwie najuboższe koleżanki.

Wszystko to robi Marysia Kowalczykówna, harcerka. Ta dziewczyna ciągle się kręci, ciągle coś robi, organizuje... jej matka bała się, że z tego wszystkiego zcstanie w czwartej klasie, a'e jakoś przeszła.

Marysiu! Urodziłaś się na działaczkę! Masę dobrego możesz zrobić na świecie!

Więc naczelnik poczty z Kurzymina i nauczyciel z Zalesia, i sekretarz sejmiku ze Zborzyc, i Marysia z piątej klasy, to są działacze czystej wody! Ludzie, którzy, gdziekolwiek się znajdą, muszą dokonać siebie coś stworzyć, coś budować, coś poprawiać, ulepszać, kogoś uczyć, kogoś wychowywać, męczyć się, znosić niezliczone przykrości, pokonywać niezliczone trudności, niechęć, inercję, uprzedzenia i to wszystko w imię jakiegoś dobra, do którego jedni się odnoszą z nieufnością, inni z ironją, jeszcze inni z wyraźną wrogością.

Stosunek ten zmienia się odrazu u tych, na których spływa trochę tego „dobra”: poprawa dróg w powiecie, uratowanie dziecka od śmierci w szpitalu samorządowym, kursa, które ułatwiły zdanie egzaminów i dochrapanie się wyższego stanowiska, to wszystko korzyści niezaprzeczalne.

Ale te różne odczyty, świetlice, dokształcania, kursa dla gospodyń, dla dorosłych, i jeszcze inne jakieś najrozmaitsze?

Niech się uczy młodzież, i przede wszystkim młodzież. Starszym dać spokój. Prostu szkoda czasu. Oni i tak się już nie zmieniają, mówią mi.

Mój Boże, trzeba chyba zamknąć oczy na rzeczywistość, żeby wygłosić podobny pogląd. Bo pomyśleć tylko: jakimiż siłaczami musieliby być ci młodzi, co rok kończący szkoły, żeby nie wessało ich środowisko, z którego wyszli i do którego wrócili. Lizał trochę tej nauki, przeczytali nieco książek, odegrali parę przedstawień amatorskich, oto wszystko. Z natury rzeczy tak mało brali jeszcze udziału w życiu zbiorowym, tak mało widzieli innych, niż własne, środowisk ludzkich, w najlepszym razie słuchali tylko o tem, co będą mogli robić w przyszłości, teraźniejszość traktowana była, jako przy-

gotowanie. A ledwie skończyli szkołę, porwała ich wciążą praca zarobkowa.

Jakimiż więc siłaczami musieliby być, żeby nie rozplynać się w życiu swego środowiska i nie stać się takimi, prawie takimi, jak ich rodzice.

Bo choć odbiegli o kawał drogi od ich ciemnoty, czyż zdolają sami jedni przebudować twarde, niedobre życie wsi i miast? Zapewne, są między nimi i siłacze. Ale większość, to ludzie zwyczajni. A ludzie zwyczajni nie budują życia, tylko mu podlegają. Zwyczajnych ludzi czeka zwyczajne życie.

Są zresztą rzeczy, które muszą być osobiście przeżyte, nie mogą być nigdy ani przez nikogo „na zapas” nauczane. Trzeba być naprawdę dorosłym, żeby je zrozumieć. Nie pomoże tu żadna inteligencja młodzieńcza. Wiemy to wszyscy tak dobrze!

I taki prosty stąd wniosek: żeby przebudować życie, niedość jest wychowywać młodzież. Trzeba jeszcze wychowywać środowiska, w którym ta młodzież żyje. Wychowywać dorosłych.

I poto, właśnie poto są te wszystkie dokształcania, świetlice, kursa!

Kto raz bodaj w życiu miał z tem do czynienia, kto choć raz w życiu wykładał na takich kursach i widział wlepione w siebie oczy, baczące, żeby ani jednego słowa nie stracić, nie uronić, żeby się wszystkiego dowiedzieć, wszystko zrozumieć i wszystko zapamiętać, ten już napewno wie, czem jest nauka dla dorosłych, ten już nigdy nie powie, że „szkoda czasu, bo oni i tak już się nie zmieniają”.

Po całodzienniej pracy, zmęczeniu, przychodzą na wykład z najodleglejszych krańców miasta, wędrują po dalekich drogach z dalekich wsi na kurs, na odczyt, na pogadankę, i stojąc na dziedzińcu kościelnym lub przed szkołą całe godziny, z cierpliwością bez granic wyczekują prelegenta, który się spóźnia, a czasem wcale nie przyjeżdża! A potem siedzą zasłuchani, wpatrzni, nałamuja niewyćwiczone w myśleniu mózgi, chłoną!

Na tem to właśnie podłożu musi się oprzeć praca, zmierzająca do przebudowania życia: odczyty, pogadanki, kursa dokształcające, a w następstwie wzrastająca frekwencja bibliotek, czytelni, domów ludowych, świetlic, a tem samem zmniejszająca się frekwencja szynków, ilość pijatyk, bójek i awantur.

Nieskończone pole do pracy, przetwarzającej samą najistotniejszą głąb życia. Wyłaniają się coraz to nowe potrzeby, a w ślad za nimi coraz to nowe środki ich zaspakajania. I o dziwo, środki te znajdują się nieraz w najuboższym, najbardziej jałowym środowisku, gdzie napozór niema żadnych danych, aby coś zrobić, coś zorganizować. Czemuż to taki działacz nie wymyśli, nie zrobi „z niczego”? Z kupy zakurzonych książek na strychu, traktowanych pogardliwie, jako niepotrzebnie zajmujące miejsce graty, stworzy zaczątek biblioteki, wypożyczalni, czytelni, Bóg wie czego! Zawalony rupieciami pokoiem przy szkole zamieni w świetlicę, w „lokal” kółka samokształcenia, w „izbę harcerską”, lub Związek Młodzieży, a wkońcu rozrośnie się to aż do rozmiarów Domu Ludowego! Wypadkowo gdzieś zdobyty czy darowany kielik mamuta, kilka strzałek krzemiennych, stara sukmana huculska, to zaczątek przyszłego muzeum przyrodniczego, czy etnograficznego; zebrania wieczorne dziewcząt, haftujących serwetki ze wzorów najbliższej okolicy, to przyszła wielka wytwórnia przemysłu ludowego, a kilka obiadów, dostarczonych przez gminę dla najuboższych dzieci w szkole, to przyszła opieka społeczna nad dzieckiem.

(dok. nastąpi)

O PEWNYCH NIEDOSTATECZNIE ZNANYCH SPRAWACH ŻYCIA CODZIENNEGO

Co to jest — „prawo“?

W potocznym życiu słyszymy ten wyraz, posługujemy się nim w dwojakim sensie.

Albo mamy na myśli to, co każdemu czynić wolno: „mam prawo żądać, aby szanowano moje przekonania“, „aby mój dłużnik zwrócił mi dług w umówionym dniu“, „mam prawo zrobić ze swoją rzeczą, ze swoją własnością, co mi się podoba“.

Albo posługujemy się wyrazem „prawo“, lub „ustawa“ w sensie pewnych ram, w obrębie których musi się nasze postępowanie mieścić, których nam nie wolno przekraczać. W języku fachowym różnica ta nazywa się różnicą pomiędzy „prawem podmiotowym“ a „prawem przedmiotowym“.

W każdym razie owo „prawo“ jest czemś, z czym się spotykamy na każdym kroku.

Jest ono przecie dla nas conajmniej równie ważne w życiu codziennym, jak znajomość tabliczki mnożenia, jak najprostsze wiadomości, historii, lub geografii, ba! niech, kto chce, uważa to za przesadę, ale śmiem twierdzić: jak ortografia!...

Zamawiam suknię u krawcowej a ta nie dotrzymuje mi słowa, zwleka z oddaniem roboty, albo popsuje mi tę robotę, zmarnuje materiał. Niewątpliwie stała mi się jakaś krzywda; naruszone zostało jakieś moje „prawo“; mam „prawo“ czegoś od krawcowej żądać. Ale czego? Jakie to „prawo“ zostało naruszone? Gdzie, do kogo mam się zwrócić o zadośćuczynienie, i czego mi się wolno domagać, a czego nie? Może ta krawcowa ma być „ukarana“, a może tylko ma zapłacić mi wartość szkody, którą mi wyrządziła? Nie prawnik, nawet jeśli prostym rozumem umie sobie na niektóre z tych pytań odpowiedzieć najczęściej zaczyna brnąć w trudności, gdy przychodzi do praktycznego zrealizowania jego „prawa“.

Do adwokata! do sądu!... Tak. Ale czy nie lepiej byłoby przedewszystkiem samemu orjentować się w tych dość subtelnych rzeczach należycie? a do adwokata, lub do sądu udawać się dopiero w ostateczności.

Wspomniałem wyżej o „ukaraniu“.

Wszak wcale to ciekawa sprawa, dlaczego władza, sąd w jednych przypadkach nakłada na „winnych“ „karę“ np. grzywnę, lub areszt, a w innych — tylko skazuje np. na wydanie rzeczy, na wykonanie roboty, na zapłacenie długu.

Na czym polega różnica pomiędzy temi widocznymi zasadniczo różnymi kategorjami spraw?

Słyszymy wiele o „konstytucji“. Konstytucja to lub owo gwarantuje, na to, lub na tamto nie pozwala. A wielu też ludzi posiada pewne wiadomości z konstytucji, t. j. z tej ustawy podstawowej, o której tyle bądź co bądź wiemy, że jest zasadniczym, najgłówniejszym regulatorem życia państwowego i społecznego?

Wybory do „ciał ustawodawczych“ bardzo, o! bardzo nas interesują. Lata całe naprzód bawimy się we wszelkie możliwe kombinacje światoburcze... przy zielonym stoliku, na temat wyborów, sejmu, senatu; obija nam się o uszy „prawo wyborcze“ „pie-

cio-przymiotnikowe prawo głosowania“. Ale gdyby nas tak wzięto na egzamin z tych wiadomości zasadniczych, — to niewiadomo, jakby on tam wypadł!

Mówimy: „prawo“, „ustawy“, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że to są pojęcia różne, i że ta różnica jest wyraźna i ważna, że się ją znać powinno.

A „prawo małżeńskie“, a rozwody, które zwłaszcza u nas w Polsce od dłuższego już czasu stały się palącą kwestją dnia; każdy wie, że to jest jedna z najprzykrzejszych bolączek naszego życia społecznego. Ale gdy wypada zorientować się, na czym właściwie polega trudność, jakie są owe prawa, o których to jednak często wiemy, że są różne w różnych dzielnicach Polski, — jak rozwiązać owe węzły gorsze, niż był gordyjski, w jakie się niejednokrotnie wikła życie rodzinne w naszych stosunkach, owe najdziwniejsze sploty okoliczności i praw, i interesów, rodziców i dzieci, sploty, wydobywające na powierzchnię życia codziennego, najsmutniejsze dramaty, tragiczne... gdy wśród tych trudnych sytuacji trzeba przecie jakąś drogę wybrać, — jesteśmy najczęściej, jak ślepi, błądzimy poomacku.

Taką bolączką drugą, lecz już nie tylko sprzecznicie polską, jest sprawa dzieci nieślubnych, ich praw.

Chyba też niewątpliwą jest rzeczą, że powinniśmy być poinformowani, co to takiego jest instytucja „opieki“ nad małoletnimi dziećmi, zwłaszcza nad sierotami, jak tę sprawę traktują trzy w samej Polsce różne prawa dzielnicowe, jak się ona przedstawia w innych państwach.

* * *

Takie oto byłyby najważniejsze i najaktualniejsze, a jak sądzę także najciekawsze kwestje z dziedziny prawa, o których każdy, szczególnie kobieta, mająca żywą styczność z życiem praktycznym, — powinien mieć zasadnicze pojęcie. Można by takich tematów wyliczyć jeszcze całą litanję. Osobną kategorję można utworzyć z wydarzeń dnia powszedniego, które proszą się o oświetlenie. Niesłychanie też ciekawe jest np. prawo małżeńskie i rodzinne w Rosji sowieckiej. Piszą o niem wiele zagranicą. U nas, poza pismami fachowemi, czytało się w prasie tylko różne sensacje i pikantne nowinki. A lepsza j. st zawsze obiektywna prawda.

* * *

Zestawienie samo tematów starczy za poparcie tego, co powiedziałem na początku: podstawowe wiadomości z prawa są przedmiotem równie ważnym, jak wszystkie inne, których nas uczą w szkole średniej, — a niestety przedmiotem w programach szkolnych pominiętym, a w codziennym życiu niedostatecznie znanym.

Mamy zamiar brakowi temu zaradzić w szeregu pogadanek o poszczególnych z pośród wyliczonych wyżej kwestyj.

Prawnik.



FELICJA KRUSZEWSKA.

Smutna historia o wierszu, który nie mógł być napisany

Ranek szybko uniósł w górę powieki,
sen z pod rzęs się wymykał klusem.
Wiersz się nagle u rzęs uczeplił
i do głowy wskoczył jednym susem.

Z snu ślicznego, co tak ucieka,
wylów, wylów mnie piórem jak wędką,
a zostanę już z tobą na zawsze,
tylko napisz, tylko napisz mnie prędko.

A w pokoju był grzech z kopustą,
w całym domu tyle hałasu.
Trzeba było robić porządki,
na pisanie nie było czasu.

Uciekało ciągle z rąk mydło,
bulgotała w imbryku woda:
Trudno, najpierw gospodarskie sprawy,
nie napiszesz — a szkoda, a szkoda.

Ach, poczekaj, mój gościu śpiewny,
ach, poczekaj, gościu radosny.
Jeszcze mamy dzień długi przed sobą,
dzień niedzielny, śliczny dzień wiosny.

Czas nie czekał, czas wciąż uciekał.
Na zegarze uderzyła pierwsza,
zawołała: musisz iść na wizytę,
nie napiszesz, nie napiszesz wiersza.

Dobry Pan Bóg niedzielne godziny,
jak paciorki na nitkę nawlekał.
Wiersz położył się w myślach cichutko,
szeptał ciszej i cierpliwie czekał.

Jeszcze chwilę, gościu prześlizchny,
jeszcze chwilę, gościu łaskawy.—
Tylko trochę powietrza i wiatru,
tylko trochę wesołej zabawy.

Wieczór przyszedł cały w uśmiechach.
Już nie mogłam się dłużej bronić.
W samotności wszystkie cztery ściany
Obiecały pomagać, zasłonić.

Zaskrzypiało pióro dobrotliwie,
lampa oczy rozwarła duże.
Z dywanika spelzły na podłogę
purpurowe, pachnące róże.

Wiotki namiot nad głową rozprędył
z papierosa niebieskie dymy,
a za oknem huczące tramwaje
odmierzały średniówki i rymy.

Wszystko mogło być jak najlepiej,
wszystko mogło być wypełnione.
Wiersz zabierał cały wieczór na własność,
moje serce i róże czerwone.

Jak łzy szczęścia się sączył atrament
a litery miały kształt krzyży...
Tylko kroki, kroki w korytarzu
zadźwięczały blisko, coraz bliżej.

Zastukały, zatupowały przed progiem,
weszła siostra i drzwiami trzasnęła,
podeptała róże na podłodze,
wiersz zaczęty na dwie części przecięła.



G. N. ORDON

STRACH

Opowieść z Gór Skalistych.

Rozgarniając naoślep nizko zwisające gałęzie wypadł na polanę.

Oślepiiony jaskrawem światłem potknął się i z krzykiem okropnej trwogi runął na ręce i kolana. Zerwał się. Nie podnosząc wypuszczonej z rąk małej skórzanej walizki, pochylony, mknął niezgrabnymi susami ku spiętrzonemu na środku polany granitowym złomom.

Osuwając się, kalecząc o ostre kanty, piał się w górę. Wreszcie opasał kurczowo najwyższy blok, przylgnął do niego całym drżącym ciałem i wpił się oczami w gęstwę splątanych konarów, przysłaniającą opuszczony przed chwilą wąwóz.

Zwarta, nieruchoma, zielona ściana lśniła pogodnie w rannem słońcu. Parę wiewiórek goniło się od niechcenia, przeskakując lekko z drzewa na drzewo. Jakieś niewidzialne ptaki poćwierkiwały sennie. Zaintrygowany chipmonk¹⁾ wyskoczył na odległy o parę stóp kamień i, stanawszy słupka, przyglądał się bezczelnie intruzowi, popiskując od czasu do czasu z takim przejęciem, że aż mu podrygiwał zadarty buńczucznie puszysty ogonek.

Człowiek z głuchym jękiem osunął się na kolana. Skurczony, wsparty o głaz, utknął twarz w dłoniach i łkał.

Uspakajał się stopniowo. Na tej pogodnej, zalanej słońcem polance, czuł się pewniejszy... Prawie bezpiecznie.

Wraz z podnieceniem opuszczaly go siły. Oczy się przymykały. Rozsiane po polanie gałęzie, okalające drzewa, pietrzące się ponad niemi granitowe szczyty, pokrywały się mgłą, kołysały, jak gdyby czas jakiś, — wreszcie znikły.

Spał skulony, niespokojnym, koszmarowym snem. Długie nogi obute w pocięte ostre kamieniami miejskie kamaszki prężyły się chwilami jakby do skoków, — do ucieczki.

Obudził się, gdy słońce staczało się już za jakiś poszczerbiony szczyt. Zerwał się gwałtownie i długo badał niespokojnymi oczami okalający las.

Od polany ku przełęczy, rysującej się ostro na krwistym niebie, prowadziła szeroka lesista dolina.

Las!.. Wzdrygnął się.

Znów drżał ze strachu. Oczy zwracały się wciąż w bok, ku gęstwi, przysłaniającej ten przekłety wąwóz, gdzie całą zesłała noc.. O Boże!..

Lecz musi iść. Dwa dni już nie jadł. Musi znaleźć ludzi. Ma pieniądze, — dużo pieniędzy.

Gorączkowo począł szukać dokoła siebie. Coraz szybciej, po kilka razy, przeszukiwał rozlatanymi oczami, drżącymi rękami załomy skałek, każdy wnęk — napróżno. Stanął osłupiały, nie rozumiejąc. Wyłężał zamglony mózg, przypominał.

Zaśmiał się cicho, chrypliwie. Ślizgając się, padając, zbiegł na piaszczyste dno polany. Kierował się ku wąwozowi. Szedł coraz wolniej. Stanął. Dygotał całym ciałem. O jakieś sto kroków od niego leżała czarna walizka... ale tuż za nią już był las.

Wreszcie się przemógł. Skoczył naprzód, chwycił walizkę i rwał z powrotem, oglądając się trwożnie. Tchu mu zabrakło, stanął.

To warjacja. Tam nic nie było. Nic nie mogło być. Tak, właśnie, nie mogło być! Dać się tak unieść nerwom!

Za tą przełęczą pewno są ludzie — może to już inny stan. Będzie bezpieczny. Przynajmniej narazie. No i jedzenie... ach, jak to jest przyjemnie jeść!..

Ludzie — dokoła ludzie! Tam się skończy ten koszmar.

Rzucił ukośne, niespokojne spojrzenie w gąszcz poza siebie.

Nie, tam naturalnie nic niema.

Trzeba iść. Ale nie dnem doliny... przez las. Nie! Będzie szedł odkrytym kamienistym stokiem. Przecież to znacznie lepiej: widać dokąd się idzie, no i... Tak, to jest dobry pomysł.

Ruszył ku przełęczy. Szedł ostro, przekładając co pewien czas z ręki do ręki ciężką, mimo niewielkich rozmiarów, walizkę.

Trudno było iść. Piarg usuwał się z pod nóg; na twardych zboczach trzeba znów było przeskakiwać głębokie szczeliny, omijać jeżące się skałki.

Często padał. Kulał na jedną nogę. Obuwie się rozlatywało. Ubranie z cienkiego, eleganckiego materiału było w strzępach. Był bez kapelusza — dawno już go zgubił. Rozwiane, rzadkie włosy wisiały długimi kosmykami, odsłaniając małą łysinę na czubku śpiczastej czaszki.

Szedł coraz wolniej. Ciemniało. Stanął.

Strach powracał. Chwytał za gardło. Oczy latały nieprzytomnie, starając się napróżno przeniknąć czerniejący poniżej las.

Dalej iść nie mógł!

Zdale od zwanego lasu stało rozłożyste, olbrzymie drzewo. Pokręcone konary odbiegały już niewysoko nad ziemią od pękatego pnia. Tu spędzi noc, a o świcie ruszy.

Usiadł pod drzewem. Objął rękami kościste kolana i patrzył z utęsknieniem ku upragnionej przełęczy. Parę razy spojrzał ukradkiem ku lasowi.

Zaczął go ogarniać odrętwienie. Wyczerpany głodem, strachem, począł drzemać.

Wtem z ciemnej masy lasu rozległ się przeraźliwy, okropny krzyk. Jakby żaloszny jęk kobiety, krzyk mordowanego dziecka. Odbijał się o strome ściany doliny, ginął, znów powracał, kołatał się coraz słabszy, aż, przeszedłszy w śmiertelne rżenie, umilkł.

Zerwał się. Drżące ręce zaciskały uszy, jakby starając się nie dopuścić tego strasznego jęku do oszałamiającego mózgu. Skamlał w bezradnej, zwierzęcej panice.

„Znowu! Znowu!”...

Skoczył ku drzewu. Chwycił się kurczowo najniższej gałęzi, podrzucił w górę. Nienawykłe do wysiłku mięśnie zawiodły i spadł. Znów skoczył. Straszonym wysiłkiem wznosił się na konar. Piał się pomacku. Parę razy osunął się. Wtedy przylegał kurczowo do pnia, oplatał go ramionami i długimi nogami i tkwił nieruchomo. Znów się wspinał, aż dosięgnął rozwidlenia.

Tu umocował się pewniej. Przywarł do pnia, pochylony ku lasowi, drżąc wpatrywał się w ciemnię.

Zamigotały żółtawe błyski. Znów się rozległ ten okropny krzyk.

¹⁾ Mały gryzoń, przypominający miniaturową wiewióreczkę

Kilka razy jeszcze krótka noc letnia rozbrzmiewała przeraźliwym jękiem.

Wreszcie niebo poczęło jaśnieć, szczyty gór zapłonęły, — świat schodził z nich w głębie, rozdzielając przed sobą mrok.

Piął się ku przełęczy.

Słońce biło w obnażoną głowę. Z wyschniętego gardła wyrывał się chrapliwy, urywany oddech. Był nawpół przytomny. Szedł jakby w gęstniejącej mgle. Potykał się, zataczał. Chwilami padał.

Po jednym z tych upadków leżał długo. Spłynęło na niego dziwne ukojenie. Ułożył się wygodniej, jakby do snu. Wtem błysnęło poczucie rzeczywistości. Dźwignął się z wysiłkiem i ruszył naprzód. Wrócił po walizkę i znów piął się wgórę.

Słońce już było nisko, gdy doczołgał się do przełęczy.

Łapczywie spojrzał wdół.

Stronie zbocze spadało raptownie ku szerokiemu wąwozowi. Daleko u jego ujścia do rozległej doliny wiły się ku górze błękitnawe dymy małej górniczej osady.

Wyciągnął ku niej drżące ręce, łzy wybiegały z zaognionych wpadniętych oczu i spływały wolno po wychudłych, szczeciniastych policzkach.

Radość, głód, wyczerpanie zmogły go. Zemdlał.

Chłód nocy go ocucił.

Woddali, ledwo dostrzegalne, migotały światła zbawczej osady.

Wahał się. Schodzić w nocy byłoby szaleństwem. Musi poczekać do rana. Letnia noc taka krótka. Za kilka godzin ruszy. W wąwozie jest strumień. Przeciągnął suchym, spuchniętym językiem po popękanych, krwawiących wargach. A w osadzie jedzenie — dużo jedzenia.

Rozległ się za nim szelest osuwającego się kamienia. Odwrócił się gwałtownie.

Jakiś duży niewyraźny kształt mignął w mroku między dwoma pobliskimi skałkami.

Skoczył naprzód i począł zbiegać naoslep do wąwozu.

Chciał krzyczeć, wołać pomocy tych ludzi tam... tam... Z suchego, ściśniętego gardła wyrывał się tylko raz po raz okropny, chrapliwy jęk.

Potknął się, upadł. Sunął z ruchomym piargiem, uderzył o kamienie, zruszył je i coraz szybciej toczył się wraz z nimi w nieprzenikliwy mrok.

Stary Tim O'Maley wracał do osady. Pędził przed sobą osiołka, objuczonego kilofami, siatkami kuchennymi i jakimiś płóciennymi sakwami, ścinał prętem wierzchołki pokrzyw i nucił przez nos starą piosenkę: „Irlandja musi być niebem, gdyż moja matka stamtąd pochodzi.”

Zgizdiony był trochę. Kilka miesięcy włóczył się po górach prawie napróżno. Te próbki rudy w sakwach coś marnie wyglądają. Okaże się dopiero po analizie co są warte, ale szanse słabe.

Tak! Prospektowanie to ciężki kawał chleba. „Mucho trabajo poco dinero” — jak mówią Meksy¹⁾.

Podmuch wiatru omal nie zerwał mu kapelusza z siwiejącej zmierzwionej czupryny.

Zaklął przez zęby. W tym podłym wąwozie zawsze taki przeciąg.

Przy następnym podmuchu coś mignęło w krzewach pod zbiegającymi od przełęczy zboczami. Jakby wydłużona ćwiartka kolorowego papieru.

Tim krzyknął na osiołka i zaintrygowany, zwrócił by sprawdzić. Wtem skoczył żwawo i, pochylwszy się, podniósł z pod krzaka nowiutki studolary banknot. Gwizdnął z podziwu.

Zaczął się rozglądać. Niedaleko leżał drugi, — dalej trzy razem.

Zbierał je gorączkowo, nic nie rozumiejąc. Szukając, zbliżył się do zbocza. Wtem ujrzał dziwny widok.

Z pomiędzy kańciastych granitowych brył sterczały cienkie golenie w poszarpanych długich miejskich spodniach. Nogi były obute w porwane kamaszki. Dokoła w nierównych podmuchach wiatru fruwały banknoty.

Chwilę stał ośłupiały. Cichy jęk otrzeźwił go. Począł spiesźnie odrzucać kamienie.

Ukazało się chude ciało, okrwawiona, straszna twarz.

Zbiegł do potoku, zaczerpnął wody w kapelusz i bryzgał raz po raz.

Nieznajomy otworzył oczy.

Tim aż się zachnął taki z nich wyzierał niesamowity, upiorny strach.

Ze spieczonych ust konającego wyrwało się niejasne bełkotanie.

Trzy dni mnie ściga... Upiór... nie wiem co... Czyha w nocy... krąży.

Uniósł się trochę — wysunął rękę, jakby odpychając coś. Złamana kiść zwisała okropnie.

Ten krzyk!.. Ten!..

Opadł na kamienie.

Stary prospektor przeżegnał się nabożnie. Wzrok jego ślizgał się po trupie, po rozsianych dokoła okrwawionych banknotach, spoczął na leżącej opodał zdruzgotanej walizce, z której wyglądały paczki studolarów.

Co za śmierć! — mruknął przejęty.

Zdjął z osła pusty worek, pozbierał banknoty i zarzucił sakwę na siodło. Potem z kieszeni poszarpanej marynarki nieznajomego wyjął pugilares, otworzył, skinął głową z zadowoleniem, dojrawszy dokumenty i schował go do kieszeni.

Począł piętrzyć nad trupem kamienie. Odprowadził osła na stronę, wspiął się ostrożnie na zbocze i, zruszając kilofem duże bryły, staczał je na rosnący wciąż kopiec.

Wreszcie mruknął. No teraz zwierzaki go nie ruszą.

Nie odszedł daleko. Noc spływała szybko, zapelniając po brzegi przepaścisty wąwóz. Nad strumieniem rozjuczył osła, przywiązał na długim sznurze i zapalił ognisko.

¹⁾ Wiele roboty — mało pieniędzy. Meksy — pogardliwy skrót od Meksykańie.



„John Summers” — czytał w rozłożonych na kolanach dokumentach. Kansas City National Bank. Aha... trząsł głową porozumiewawczo. Tylko nie wiem czy wszystko dostaną zpowrotem. Wiatr musiał porozganiać trochę tych banknocików, a i pod kamieniami pewnie coś niecoś zostało.

Ślęczał dalej przy migotliwym blasku. Kasjer. A tak myślałem. Całe życie przesortują tyle tych papierków, że i samym się ich zachce.

Siedział zamyślony, wpatrzony w ogień, pykając machinalnie z wyszczerbionej fajeczki.

Przypominał sobie.

Ale co to on mówił — „Upiór, ściga mię, ten krzyk” — co za brednie!

I ten okropny strach w oczach konającego kasjera? Musiał chyba schodzić w nocy, żeby tak spaść — uciekał przed czymś — przed czym? Nie rozumiał.

Długo dumał stary Tim. Różne wypadki widział w swem włóczęgoskim życiu, ale ten taki jakiś dziwny...

Ogień przygasał.

Wtem osioł, pasący się dotąd spokojnie, zachrapał i rzucił się, aż mało nie zerwał sznura.

Płowy duży kształt mignął między kłakami, błysnęły dwa żółte ogniki. Po chwili o kilkadziesiąt kroków od obozowiska rozległ się jękliwy, okropny krzyk.

Teraz rozumiem — mruknął Tim. Spojrzał w kierunku kamiennego grobu i pościwał głową z politowaniem. „Chciało się mieszcuchowi kryć w górach. Aż oszalał ze strachu, tak się przeląkł głupiej ciekawskiej pumy”¹⁾.

Gwizdnął przeraźliwie przez zęby i cisnął kamieniem w gęste podszycie, skąd rozległ się krzyk.

Potem zawiął się w derkę i legł na mchu.

¹⁾ Puma jest jednym z najciekawszych zwierząt. W mało uczęszczanych częściach gór towarzyszy ona nieraz człowiekowi przez kilka dni, podkradając się dość blisko, by się przyjrzeć nieznanemu stworzeniu. Chociaż duża i silna jest ona bardzo tchórzliwa i nigdy się na człowieka nie rzuca.

Powyższe sam sprawdziłem w Górach Skalistych. Spestrzeżenia moje potwierdził amerykański przyrodnik — samcuk Enos Mills, który przemieszczał długie lata u podnóża Long's Peak, studując florę i faunę Gór Skalistych. Autor.

MAX DAUTHENDAY

W GODZINIE MYSZY

1

W pewnem mieście prowincjonalnem znajdował się skład owoców południowych nad głęboką piwnicą, zamykaną na kłapę.

Z tej to piwnicy w każdą noc wylaziły całe chmary myszy i plądrowały w składzie owoców. Nagryzały piękne w bibułki owinięte kalwile, żarły figi i daktyle, rodzynki i banany, nie oszczędzały młodych jarzynek i ananasów. Nie było takiej rzeczy, którąby pogardzały ostre ząbki żarłocznych zwierzątek pomiędzy północą, a świtem.

Tak długo, jak na ulicach panował zgiew i słyhać było turkot pojazdów, myszy siedziały cicho w piwnicy. Ale, gdy tylko wybiła północ i ulice zaległa cisza i martwota, zjawiały się gromadnie i hulały wśród słodkich towarów, urządzając istne orgie, których ślady przejmowały zgrozą handlarza owoców, przychodzącego następnego ranka do składu.

Nie opłacało się zwinąć sklepu i przenieść się w inną dzielnicę miasta, bo punkt był dobry i można było narazić się na utratę klienteli przy zmianie lokalu.

Więc kupiec rad nie rad starał się wszelkimi sposobami zabezpieczyć przed myszami. Kupił sobie kilka kotów, ale natychmiast musiał ich odsprzedać, bo koty przez noc zanieczyściły sklep, a zapach koci wywoływał wstręt u kupujących.

Więc kupił sobie psy z rasy łapaczy szczurów, ale psy dziko wyły po nocach, uganiając za szczurami i myszami i wśród harców przewracały na ziemię kosze, wysypując z nich stosy owoców, tak, że na skutek skarg sąsiadów musiał się ich co prędzej pozbyć, tembardziej, że szkody, wywołane przez dzikie psy, równały się szkodom, wywołanym przez myszy.

Rozsypać truciznę na myszy było także rzeczą niebezpieczną, bowiem zatrute zwierzęta mogły tru-

ciznę rozwłóczyć po owocach i tą drogą powstać mogły nieobliczalne nieszczęścia.

Nie pozostawało więc nieszczęsnemu, dręczonemu przez myszy, handlarzowi owoców nic innego, jak o północy, w godzinie myszy, udać się do sklepu z wielkim kijem i samemu czuwać nad koszami owoców, odstraszać chmary myszy klaskaniem w dłonie i tupaniem nogami o podłogę.

Nie mógł jednak czuwać każdej nocy, więc swój trud dzielił z żoną. Ale wkońcu obowiązek nocnego czuwania poczęł oboje męczyć niepomiernie.

Wtedy przyszło mu na myśl, aby wziąć do domu daleką krewną, która właśnie poszukiwała posady i umówić się z nią, aby i ona czuwała w sklepie co trzecią noc.

Handlarz owoców sprawdzał w nocy od czasu do czasu, czy dzieł czynę nie morzy sen.

Nie zdarzyło się jednak ani razu, aby ją zastał śpiącą, wypełniała sobie bowiem czas czytaniem ballad i poezyj, które jej zawsze przypadły do gustu.

Zczasem, chwile spędzane razem z dziewczątkiem w godzinie myszy w składzie, za koszami owoców, gdy straszliły myszy, lub gdy czytała na głos jedną ze swych ulubionych ballad, które umiała już prawie na pamięć, głosem swoim straszac trapiących rozbójników, stały się dla handlarza tak rozkosznym przyzwyczajeniem, że przedłużał z nią nocne czuwania i wkońcu zrozumiał, że zakochał się w młodej dziewczynie bez pamięci.

Stało się to pewnej nocy, gdy długo przysłuchiwał się, jak czytała na głos swoje ballady, a on ją poprosił, by mu przeczytała jeszcze jeden poemat. Wtedy dziewczyna przypominała mu, iż czas, aby już poszedł na górę do sypialni swojej żony. Dodała przytem z uśmiechem, iż dobrze o tem wie, jak szczęśliwe jest ich pożyście.

Mówiąc to, zawinęła piękną kalwilę, którą jej w nagrodę za czytanie ballady podarował, w bibułkę i położyła ją zpowrotem na piramidzie jabłek.

„Szkoda dla mnie takich pięknych jabłek. Pańska żona gniewałaby się, gdyby się dowiedziała, że zjadłam najpiękniejsze jabłko z całego sklepu”.

Westchnęła, mówiąc te słowa. Handlarz owoców wyszedł ze sklepu. Przedtem jednak zawołał ze śmiechem:

„Naturalnie, że jestem szczęśliwy w małżeństwie, nawet bardzo szczęśliwy!”

Od tej chwili, od chwili uprzytomnienia sobie, że jest szczęśliwy, człowiek ten odczuwać zaczął wewnętrzny niepokój, który go czynił nieszczęśliwym. Miał wrażenie, że, wyjawiając otwarcie swoje szczęście, przeszedł już przez rubikon tego małżeńskiego szczęścia. Był przesądny i uwierzył, że mówiąc głośno o szczęściu, sprowadzi do domu nieszczęście. Był przez całe życie szlachetnym i dobrym człowiekiem, który nigdy nie zdradził swojej żony. A teraz żona mogła każdej chwili spostrzec z przerażeniem z jaką miłością patrzył w godzinie myszy na dziewczynę, czytającą głośno ballady, zapominając przy niej o śnie i o czasie.

Młode stworzenie z ciemnymi oczami i kasztanowymi włosami odbijało ślicznie od tła malinowych pomarańcz, złocistych cytryn i pachnących słodko ananasów. I często w dzień, gdy kupiec obsługiwał klientów, a dziewczyny nie było w sklepie, zdawało mu się, że w niskich, płaskich koszykach, w których stłoczone były gładkie winogrona tureckie, lub ze stosu hiszpańskich mandarynek, owiniętych w srebrne papierki, wiał zapach jej ciemnych loków i jej obnażonej szyi, który poczuł raz w nocy, gdy zaczajeni za koszami kalwili, straszili kijami myszy. Niepokój handlarza owoców wzrastał z każdą

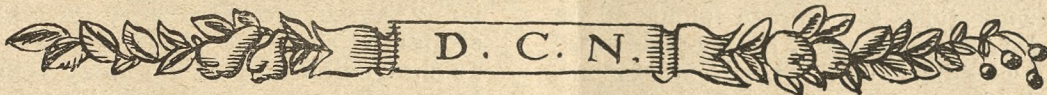
chwilą, zwłaszcza w obecności żony, którą szczerze kochał i której nie chciał znartwić swoją niewiernością. Nie mógł dać sobie rady, nawet wtedy, gdy postanowił nie odwiedzać dziewczyny w sklepie, podczas jej nocnego czuwania. Nie przydało się to na wiele. Spotykał dziewczynę za dnia, a nie mógł nawet jej odprawić, bo okazała się niezbędną przy pełnieniu nocnej straży. Nie było do tego żadnego zresztą powodu prócz tej niezmiernej sympatii, która ciągnęła go ku niej i z której sam ledwo zdawał sobie sprawę, nie mówiąc o tem naturalnie nikomu.

Gdy spotykał dziewczynę na schodach, w sklepie, albo w mieszkaniu, robił obojętny wyraz twarzy, aby ukryć swe uczucia. Wtedy wydało mu się, że panienka jest trochę skrępowana zmianą jego usposobienia i że odnosi się do niego z pewnem lekceważeniem.

Było mu przykro, gdy wspomniał, że powiedział jej, iż jest szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Uważał, że jest w tem coś niskiego, a nawet podłego. Oto on jest szczęśliwy, a ona, to młode, śliczne stworzenie, pracując ciężko na chleb, spostrzega, jak przemijają bez treści dni i noce.

Gdy udał się pewnego razu do portowego miasta po większy zakup owoców, które przywieziono z południa na okrętach, zrobiono mu propozycję założenia w tem mieście filji, aby lekko uszkodzone owoce, któreby nie zniosły już transportu koleją, mógł sprzedawać na miejscu. Kupiec zgodził się chętnie na tę propozycję, tembardziej iż większe transporty owoców zmuszały go tak, czy owak do częstych podróży do portowego miasta. Żona jego uważała również za rzecz bardzo odpowiednią, że mąż zajmie się filją w owym mieście portowym, podczas, gdy ona sama miała prowadzić dalej interes w mieście prowincjonalnem.

(tłum. Z. Rabsha)



Z. REUTT-WITKOWSKA,

KRYSTYNA ROSSETTI

(1830 — 1894)

Gdyby tak co dnia serce ludzkie wspomagało się na ten szereg cudów wewnętrznych: „z samotności swej gniazdo budowało sobie”, gdyby każdej chwili czułe było na głos wołający: „Pójdź za Mną, tędy, powstań i pójdź za Mną” — byłby to już zaiste czas żniwa; dojrzałoby snadź serce (dwugłos Duszy z Aniołem), wyteskniłoby już do dna tęsknotę swą za Domem (dion rzecz), za Ziemią Macierzystą, kędy wyniosłe cedry wiew Pański kłoni — za Jeruzalem Słoneczną (Pragną ninie...), za Ojczyzną Niebieską, gdzie po gwiazdach przechadzać się będziemy, od gwiazd jaśniejsi (Oko nie widziało).

Nie, chwili nie każdej to cuda. — Bywa, serce poety zawezwie świat cały walczący i kościół duchów zbawionych, by czuwać, z Chrystusem czuwać Samym w jakąś dobrą wigilię Nowego Roku. Być z nim jedno. Albo też odda się duch zapatrzeniu w Mękę Bożą — a to już znów, prawdziwie, z żarem wielkiej św. Teresy od Krzyża — Aż skryje się w Ser-

ce, „rozcięte, rozprute” po to, aby znalazło się w Niem schronienie tym, którzy cierpią.

Różne są drogi. Świadomość jedna góruje nad momentami porywu i spadku sił: „jeszcze chwila, ustanie wiek i ciężka troska, i jeszcze jedna chwila, życie odrodzone wyrówna stratę, okwit, śmierć; Miłością wszystko”.

Nadzieja w Bogu, wzlot w Zaświat, oto jak gdyby jedno ostrze obosiecznego miecza, którym tego rodzaju budownicy własnego wnętrza, odcinają zwykle „zdrowemu” człowiekowi, „normalne” więzy miłosne, przykuwające do gwarne go świata ziemskich wydarzeń.

Co stanowi ostrość drugiej strony miecza Chrystusowych tych Donkiszotów? Stara mądrość Kaznodziei, że wszystko marnością.

Mądrość niewyrozumowana: gorycz jej od dziecka wyczuwają bezpośrednio w smaku wszelkiej

radości, jaką świat niesie. Gorycz, która dla tych, co odważnie wypili ją do dna, słodyczą się staje. „Aż rzecz się wszelka skończy długim śmierci prochem”... To, zda się, gorycz. Jedyna pewność. Ale pod tym ciężarem, i właśnie, urasta inna pewność, słodka: pod ciężarem „więzów niepokalanych wewnętrznej samotności”, słodka urasta pewność, że ja, żalosne „więzienie sobie samemu”, nie marnotrawię siebie, lecz składam się w ofierze, i to królewskiej — Królowi swemu (as king unto my King), co Siebie Samego za mnie położył ofiarę. To już nie oblubienica przed Panem, a przyjaciel przed Przyjacielem. Król sam śpiewać mi każe: „Kędyż, Śmierci, oścień twój?” — „Kędyż, Grobie, panowanie twoje?!”

I znów to trwałe poczucie, że wszystko, co z prochu, w proch się obraca, nie zawsze zdobywa się na radosną świadomość, że zmartwychwsta nie będzie z prochu w Słońcu Wiecznym.

Są długie dni oćmień, przynębień, posuchy wewnętrznej. Czemu nie skruszą muru, odcinającego ich od szumnego świata, ci więźniowie własnej Abstrakcji? Chorzy ludzie, powiada świat. Nie śmieją się hucznie; Chrystus, podobno, nie śmiał się nigdy. Obca im jest „radość życia”, czekają swojej Radości. Życie dłuży się im, choć szczerze wypełnio ne umiłowaną i sumiennie wykonywaną pracą.

Krystyna Rossetti zajmowała się podobnie, jak ojciec, nauczycielstwem, z matką wraz prowadziła szkołę, pierw w Londynie, poczem na prowincji. Nie mogło jej być źle pośród dzieci, dzieciom z nią też musiało być dobrze. A jednak... A jednak są tacy ludzie — mężczyźni, kobiety (zwłaszcza ko biety), mający tego rodzaju zasób sił organicznych, energij życiowych, że prowadzeni twardym nakazem bezprzestannego wysiłku woli, pełnią wzorowo swe obowiązki, dają notorycznie więcej z siebie, niż in ny, zdrowy pracownik: tylko nie starcza im już sił na gromką, syłą radość bujnego ciała. Bo też cielesność ich nie jest, i właśnie, bujna. Duch ją niszczy, przetrawia. Czy to, koniecznie, choroba? — Kwestja medyczna, nieliteracka.

Bolesną więc świadomość, że to długie, dłu gie życie nie jest ani słodkie, ani dobre (Życie i Śmierć), przepracowywać trze ba wciąż i wciąż w świadomość radosną, iż przyjdzie dzień, gdy będzie słodkie i dobre. A gdy się tak to życie dłuży, prosić Boga o serce anioła, o serce świętych,



o Chrystusowe w sobie, mężne serce (Jak dłu go?). Charakterystyczna jest depresja pod wpływem tego „harowania i mozołu” z dnia na dzień.

Pośród czynienia dobrze: przyczyna fizjologiczna tyleż, co moralna. „Nudno mi tu, gdzieś jest, i gdzie mnie niema. Nudzi mię pamięć i prze widywanie, nudzi, co mam i nudzi to, co widzę. Nudzi mię własne ja... i nic nowego. Doli mej cierpli wości niecierpliwa!” Spleen? — Trochę neurastenji? — Owszem. Ale diagnoza tak nie wnika w głąb zagad nień „Znużona grzechem, pokutą znużona, znużona sobą, do Ciebie się Boże zwrócę, do Ciebie, Sę dzio”...

Ta już skarga cdrywa się cokolwiek od oko liczności zewnętrznych: co prawda jednostajność tych okoliczności, szarzyzna owego z dnia na dzień, sprzyja rozwojowi wrodzonego upodobania do in trospekcji, wglądu w siebie. A kto ma (dwagę pil nie i rzetelnie przypatrywać się sobie, z pewnością się widokiem tym nie zbuduje, i musi modlić się dalej: „wzmocnij mię, Boże, abym siebie znosił... Ukrzep mię Panie, przeciw mnie samemu, tchórzowi z głosem patetycznym, który łaknie wywczasu, spo czynku, radości”. — (Kto mię wyzwoli?).

Dlatego też psychika taka, szczególnie czuła, szczególnie ciężarem okoliczności, nadmiarem pracy umysłowej, przy braku wrażeń z zewnątrz, obarczo na, zasługuje na miano mocnej, mężnej, gdy na przekór pokusom słabości, łaknieniu wczasów, idzie naprzód, czyniąc dobrze. Ludzie tacy zresztą, choć bardzo znużeni, odpoczywać nie umieją. Odpoczy nek ciąży im: byłiby wówczas tembardziej sam na sam z sobą, z nędzą.

„A przeto w cierpliwości, duszą swą owładam... Ku Jeruzalem twarzą statecznie zwrócona” — (Do Do mu). Po chwilach, gdy otchłanny smutek wyrwa z serca słowa pokory w obliczu swych nędz, słoneczni się — w dzień szary — moc przekonania, że choć dzień mój aż do nocy szarzyzną mgły osnu ty, w odwiecznej jednak zabłyśnie mi światło: musi! — (W cierpliwości). Dalekie to jutro Bogu Miłości zawierzone, bezpieczne (Czyli ty nie dbasz?). Czemu, czemu jednak tak bardzo dalekie?!

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę — skarżyła się Pa nu — i znów — Teresa od Krzyża. „Gdybym tylko miłować mogła Boga swego — i umrzeć; lecz On każe kochać... i żyć dalej”. (c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

12

V. ORLEAŃSKIE DZIEŁO.

Od stu lat prawie naród zabijany
W pasterkę patrzył, jako w gwiazdę żywą. —
Ona też pancerz, złoty, malowany
Kwiaty różnemi, jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
Podobna białej Anhelicy — Sławie!
Koło niej ciągly tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz — nad nią¹⁾ sztandarv..

J. Słowacki.

Rankiem 27 kwietnia wyszedł z Blois duży transport żywności, eskortowany silnie przez wojska. Była to raczej, jakby procesja, niż marsz wojsko-

wy — zwany też czasem w historii „świętym pochodem”...

Wzdłuż brzegu Loary, rozkwitłego już barwami wiosny, ciągnął długi sznur ładownych wozów, przetkany oddziałami zbrojnych, najeżony gdzieś gajami kopij i proporców. Na przedzie postępował orszak księży i zakonników, a wśród nich dziewczę w białej zbroi, na swym wspaniałym rumaku. Przed niem niosą pacholęta wielki sztandar, który głaska ny pieszczotą wonnego powiewu, wyjawia ze swej

¹⁾ Kto się pozna na tej trawestacji (bardzo zresztą nieznacznej) „Króla Ducha”, ten mi ją zapewne wybaczysz...

bieli coraz to jakąś osobę świętą, skrzydła gołębia, to napis, potężny w swej prostocie: „Z rozkazu Króla Niebios“. Stąd to płynie nieustanny śpiew psalmów, przelewający się wtył na całą kolumnę i buchające w niej ogniami zapału gorące, ufne wzywanie: „Przybądź, Duchu — Twórcu, serca wiernych nawiedź!“ Od wielu, wielu już dziesięcioleci nie wyruszano we Francji ku wrogowi z taką wiarą w zwycięstwo...

Sprawczyń tej przemiany, chcąc dać przykład wytrwałości w trudach, nie pozwoliła się rozdziać ze zbroi na pierwszym polowym noclegu. To też mocno znużonej dopiero msza poranna i komunja sił dodały. Może chciała być gotowa na wypadek alarmu, sądząc, że wróg może napaść lada chwila — bowiem w upojeniu tej pierwszej wyprawy nie orjentowała się jakoś w położeniu.

Blois leży na lewym brzegu Loary; Orlean na prawym — oczywiście więc, chcąc dojść z Blois do Orleanu, trzeba się przeprawić przez rzekę. Przed dowództwem „świętego pochodu“ stała ważna kwestja, w którym miejscu dokonać tej przeprawy. Rozwiązano ją poza plecami Joanny, w porozumieniu z Bastardem Orleanu, postanawiając odbyć cały marsz lewym brzegiem, a przejść Loarę dopiero w ostatniej chwili. Gdyby Joannie przedstawiono jasno sytuację, byłaby nakazała przeprawę w Blois i dopilnowała jej niechybnie — jak się bowiem okazało, konieczność przeprawy tuż pod miastem zaskoczyła ją w sposób bardzo przykry.

Zaskoczenie to mogło wynikać jedynie z niezajomości terenu, a „zwodzenie“, które wyrzucała otoczeniu, również do tego tylko chyba mogło się odnosić. Kazała pewno: „wiedźcie mnie prosto!“ a o szczegóły zadbała wówczas dopiero, gdy rzecz była już przesądzona.

Nie mówiono jej może umyślnie o przeprawie wogóle, aby uniknąć scysji — skoro zaś ona sama sprawy tej nie podnosiła, to widać sądziła, że Orlean leży na tym samym brzegu, co Blois. Jest to zupełnie możliwe, wobec tego, że nie znała tej okolicy, a map wówczas do celów wojskowych nie używano²⁾.

Dopiero popołudniu (28.IV), gdy z niebieskiej dali wykwiatać poczęły wieże upragnionego miasta, poza wstęgą wody — spostrzegła z gniewem, że ją oszukano. Niewiadomo, czy jej prędkim, stanowczym sądem kierowała „naiwna brawura“³⁾, czy trafny instynkt — dość, że zarówno natychmiastowe doświadczenie, jak i dzisiejsza wiedza militarna, przyznały jej właśnie zupełną słusność. Pod Orleanem bowiem koryto rzeczne było już zbyt szerokie, by rzucić przez nie most pontonowy — w owej zaś chwili zarówno niski stan wody, jak i silny wiatr przeciwny, nie sprzyjały przeprawie na łodziach. Wogóle przebywanie dużej rzeki w promieniu działania nieprzyjaciela należy do trudnych i wielce ryzykownych zadań taktycznych.

Wszystko to spostrzegł i uczuł wódz oblężonych teraz dopiero, z mozołem przepchawszy lekką swą łódkę przez kapryśne dziś wody Loary, aby powitać nadciągającą odsiecz i wprowadzić ją do miasta.

— A miasto, zdrewnione stałemi niebezpieczeństwami, niedostatkiem, ciasnotą w zamkniętych murach, ciągłą niepewnością jutra — nie mogło się już doczekać cudownej swej wybawicielki. „Wierzyli w nią, jak w Boga, od niej wyglądali pomocy i ocalenia; wzywali ją w jakimś mistycznym szale i świętem zapamiętaniu. Gorączka oblężenia stawała się gorączką Dziewicy“⁴⁾.

Tymczasem ta oczekiwana, pchnąwszy konia ku nieznajomemu rycerzowi, pytała z roziskrzonymi oczyma:

— Wyście to Bastard Orleański?

— Jam jest; i raduje się z serca twemu przybyciu...

— Wyście dali radę, bych szła oną stroną rzeki? bych nie przybyła prosto tam, gdzie Talbot i Angielczyki?!

— I ja i insi, bieglejsi nademnie, tako radzili, tusząc, iż ono lepiej będzie i przepieczniejsze.

— W imię Boga! rada Pana pewniejsza i mędrsza od Waszej! Mniemaliście, iż mnie zwiedziecie, a zwiedliście sami siebie. Albowiem ja wam przynoszę lepszą pomoc, niżli dostał kiedy jaki wódz, alibo gród jaki: pomoc Króla Niebieskiego, zratowanie od samego Boga! On ci to, nie przez miłość ku mnie, ale za wstawieniem św. Ludwika i św. Karola Wielkiego, zlitował się nad Orleanem i nie ścierpi, iżby nieprzyjaciół dzierzył zarazem osobę księcia i miasto jego!

Może już w owej chwili poczuł niejasno Jan Orleański, jak odpowiedzialność za rodzinne miasto zsuwa się z jego bark na te dziewczęce ramiona... Niemniej jednak dręczyła go troska o przeprawę, zwłaszcza ciężkich, a tak cennych zapasów żywności i amunicji.

— Zaczekajcie maluczko — rzecze Joanna — albowiem, w imię Boga, wszystko wnijdzie do miasta....

I oto za chwilę, przed oczyma zdumionych rycerzy przybiera rzeka i wiatr zmienia zupełnie kierunek, lekko niosąc obładowane łodzie wprost do Orleanu... Wolno sceptykom twierdzić, że to wypadek; zauważyć jednak należy, że podobne wypadki zdarzają się w życiu Joanny dziwnie często — a już nic na świecie nie zdołałoby przekonać ówczesnych naocznych świadków, że nie był to wyraźny cud boży.

Przeprawa trwała z pewnością dosyć długo; nie podobna, aby o niej nie wiedzieli Anglicy — a mając kilka redut i po lewej stronie Loary mogli wziąć łodzie we dwa ognie i zniszczyć, lub poważnie uszkodzić transport cały. Świetni ich wodzowie musieli przecie rozumieć ważność takiego zaskoczenia; tembardziej więc trudno się dziwić, że w absolutnej ich nieczynności przez cały ten czas upatrywano także coś nadprzyrodzonego.

(c. d. n.)

²⁾ Dziwi mnie, że nie spotkała żadnej biografii tej najlogiczniejszej hipotezy.

³⁾ Jak sądzi Petit-Dutaillis.

⁴⁾ A. France, Vie de Jeanne d'Arc.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWA LAUREATKA WE FRANCJI.

Akademja Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu (Académie des Sciences morales et politiques) przyznała nagrodę naukową, t. zw. prix Gegner, pani G. Lamarque, wdowie po zmarłym w czasie wojny młodemu psychologu i uczonemu Jerzym Lamarque. Pani Lamarque, która współpracowała ze swoim mężem przez lat kilka, po śmierci jego prowadzi dalej samodzielnie badania psychologiczno-pedagogiczne. Jako profesor w Instytucie Narodowym dla Głuchoniemych postawiła sobie za zadanie przezwyciężyć nieśmiałość swoich wychowanków i dowieść im, że wbrew ogólnemu mniemaniu, cały szereg prac zawodowych stoi przed nimi otworem.

Pani Lamarque jest jednak nie tylko wybitną uczoną, jest ona jeszcze pozatem wzorową matką i dzielną pracownicą społeczną. Po śmierci męża poświęciła się wychowaniu swego synka i jest dla niego najczulszą matką i najtroskliwszą wychowawczynią. Przy tem wszystkiemu znajduje jeszcze dość czasu na pracę społeczną, jest członkiem kilku stowarzyszeń kobiecych i należy do najgorliwszych bojowniczek o równouprawnienie kobiet.

CHINKI A MODA.

Musiałoby się wiele rzeczy zmienić w Państwie Wschodzącego Słońca, słynnem dawniej z konserwatyzmu, skoro chiński minister oświaty zmuszony był wydać okólnik do studentek, przestrzegający je przed zbyt niewolniczym naśladowaniem kaprysów mody europejskiej. Okólnik ów, utrzymany w tonie bardzo surowym i mentorskim, poucza młode Chinki, niepomne na dawne tradycje narodowe, że ubieganie się za nowinkami mody europejskiej i uleganie niewolniczym hasłom, idącym z Zachodu, nie przystoi kobiecie chińskiej, której główną, jeśli nie jedyną ozdobą, przez szereg wieków, była nieskalana cnota i moralność. Po tym wstępie natury ogólnej minister przechodzi do wskazań bardziej szczegółowych. A więc adeptki wiedzy uniwersyteckiej, jeśli chcą zachować prawo uczęszczania na wszechnice chińskie, winny ubierać się w sposób, nie wzbudzający niczyjego zgorszenia i nie obrażający moralności, czyli nosić suknie z materiału nieprzezroczystego, o tyle długie, aby przynajmniej zakrywały... dolną część bielizny. (Widzimy z tego opisu, że jednak Chinki muszą mieć sposób ubierania się swoisty, nieco odrębny od pierwowzoru europejskiego). Rękawy powinny sięgać przynajmniej do łokcia.

W razie niepoddania się tym zarządzeniom minister zapowiada wprowadzenie specjalnych mundurów, obowiązujących wszystkie studentki, bez których nie będą one mogły być wpuszczane na sale wykładowe.

ODWAŻNA INŻYNIERKA I LĘKLIWY POLICJANT.

W Nowym Jorku pracuje jako inżynier-budowniczy panna Małgorzata Partridge, której odwaga przy wykonywaniu pracy zawodowej stała się niedawno powodem zabawnej przygody. Kierując osobiście budową jednego z „drapaczy nieba“, odważna niewiasta wdrapała się na kilkunastopiętrowe rusztowanie, aby stamtąd śledzić za wykonywaniem jakiegoś szczegółu pracy przez robotników. Tymczasem stojący na posterunku policjant, nieprzyzwyczajony snać do widoku kobiet, wdrapujących się na rusztowania, doszedł do przekonania, że ma przed sobą

desperatkę, chcącą wykonać zamach samobójczy. Począł więc wołać z całych sił, wzywając ją do powrotu na ziemię, gdy jednak panna Partridge, zajęta swymi obserwacjami, nie zwróciła uwagi na jego wołanie, zaniepokojony jeszcze bardziej pośpieszył sam w ślad za mniemaną samobójczynią. Jakież było zdziwienie młodej inżynierki, gdy posłyszła nagle za sobą głos: „Aresztuję panią w imieniu prawa“. Dopiero interwencja robotników i okazywanie świadectwa inżyniera budowniczego zdołały przekonać sumiennego stróża bezpieczeństwa publicznego, że nie każda kobieta, wdrapująca się na rusztowania, czyni to w zamiarach samobójczych.

WALKA ZE ZBYTKIEM W TURCJI.

„The Turkish Woman“, miesięcznik wydawany przez stowarzyszenie kobiet tureckich, podaje tekst rozporządzenia rządowego, zakazującego wyprawiania niezwykle kosztownych ceremonii weselnych, co było dotąd w tym kraju zwyczajem ogólnym. Ceremonie te były nieraz powodem ruiny materialnej całej rodziny, należało bowiem do zwyczaju przesadzanie w wystawności przyjęć, przyczem jedna rodzina przed drugą starała się rywalizować w kosztowności nakryć i strojów, wytworności przyjęć i t. d. Obecne rozporządzenie znosi całkowicie niektóre z praktykowanych dotychczas ceremonii, inne zaś znacznie ogranicza, jak na przykład czas trwania przyjęć weselnych ograniczony został tylko do jednego dnia, gdy dawniej trwał przez cały tydzień. Ceremonia uroczystego przewiezienia panny młodej wraz z całym jej wianem do męża została zniesiona całkowicie. Nowe prawo zakazuje również przesyłania kosztownych podarków pannie młodej.

TRAGEDJA LOTNICZKI.

Prasa niemiecka poświęca długie artykuły pamięci pierwszej lotniczki niemieckiej, Meli Beese, zmarłej niedawno śmiercią tragiczną wskutek zamachu samobójczego. Pani Beese była pierwszą kobietą w Niemczech, która postanowiła poświęcić się lotnictwu. Pierwszym jej rekordem był wzlot, podczas którego utrzymała się przez 10 godzin w powietrzu, nigdzie nie lądując. Od tego czasu brała ona czynny udział we wszystkich konkursach lotniczych i pobiła kilka światowych rekordów. Przed samą wojną wyszła za mąż za znanego lotnika francuskiego Charlesa Boutarda. Zamążpójście to stało się powodem jej tragedji wewnętrznej. Gdy wybuchła wojna europejska, lotniczka niemiecka popadła w rozterkę duchową, nie wiedząc, czy ma oddać swą umiejętność na usługi własnej ojczyzny, czy też walczyć u boku męża, który oczywiście zaciągnął się w szeregi armji francuskiej. Nie mogąc zdecydować się po której stronie walczyć, pani Beese-Boutard postanowiła wreszcie nie brać zupełnie udziału w działaniach wojennych. Cierpiała jednak tak silnie nad tem, że mąż jej walczył przeciwko jej ojczyźnie, iż wkońcu popadła w silny rozstrój nerwowy. Rozstawszy się z mężem, czas jakiś poświęcała się jeszcze lotnictwu, dokonywując całego szeregu niezwykle śmiałych wzlotów. Choroba nerwowa rozwijała się jednak coraz silniej, aż wreszcie doprowadziła nieszczęśliwą kobietę do zamachu samobójczego, którego rezultatem była przedwczesna śmierć młodej, bo zaledwie trzydziestokilkoletniej lotniczki.

TANCERKA CZY UCZONA?

Z okazji nadania przez Rząd francuski orderu Legii Honorowej znanej tancerce Charlotte Zambelli, primaballerinie Wielkiej Opery paryskiej — pismo kobiece czeskie „Zvestovani” zamieszcza następującą ironiczną uwagę:

„Tancerka Charlotte Zambelli otrzymała najwyższe odznaczenie honorowe, jakie udziela najbardziej zasłużonym ze swych obywateli Rzeczypospolita francuska. Stało się to w tej samej Francji, w której uczeni i mężowie stanu nie zgodzili się swego czasu na dopuszczenie do Akademii Francuskiej nieśmiertelnej sławy uczonej — Marji Skłodowskiej-Curie. Widocznie zasługi, jakie położyła dla dobra ludzkości genialna wynalazczyni, mniejszą mają wartość w oczach Francuzów od tanecznych płaśń baletniczy!”

Z. B.

Z ŻYCIA KRÓLOWEJ.

Z nieklamany żalem pogrzał niedawno naród angielski jedną z najjaśniejszych postaci na tronie swym, zmarłą królową Aleksandrę, matkę króla Jerzego V, która ma przejść do historii państwa Brytyjskiego pod przezwiskiem Aleksandry Pięknej.

Przed 63 laty naród angielski miał przed oczyma swemi ideał kobiety, która zarówno w życiu prywatnym, jako córka, żona i matka, jak też i politycznym w warunkach nader trudnych do utrzymania równowagi, nie załamuje się nigdy.

Od czasu panowania rzetelnej, a mądrej Queen Elizabeth, czyli od początku XVI stulecia, żadna władczyni tronu na wyspie trzeźwego Albjonu nie cieszyła się podobnym uwielbieniem i popularnością, co zmarła. Pompatyczną bowiem i despotyczną królową Wiktorję, teściową pięknej Aleksandry, czczono i szanowano powszechnie za to, że przyczyniła się do wielkiego rozkwitu Anglii — po cichu jednak sarkano na nią i lekano się.

Aleksandrę zaś, która przez 38 lat, od chwili zaślubin swych z Edwardem VII (1863) do dnia śmierci królowej Wiktorji (1901), znana była pod przezwiskiem Princess of Wales, każdy, kto tylko na terytorjum państwa Brytyjskiego mówił po angielsku — kochał ją i uwielbiał.

Ona to bowiem sprawiła dobrocią swą, wyjątkowym czarem, prostotą w obcowaniu i niezwykłą przystępnością dla najniższych — że rozpadł się w gruzy wysoki mur chiński, panoszący się dotychczas pomiędzy dworem królewskim, a społeczeństwem i cały naród angielski poczuł, że nie on należy do rodziny królewskiej, jak to się dawało we znaki szczególnie podczas panowania Wiktorji, lecz przeciwnie — rodzina królewska staje się ogólną własnością społeczeństwa; wszystkie więc radości i cierpienia, powodzenia i nieszczęścia, wszystkie choroby i uroczystości rodzinne królestwa brano na swe barki, ciesząco się, lub martwiono niemi, jak swemi własnymi.

Aleksandra przybyła do Anglii, jako młodziutkie dziewczę, wtedy, gdy despotyzm i rygor, idący ze dworu, przenikał we wszystkie dziedziny życia społecznego i prywatnego.

Gdy karność i surowa dyscyplina — stały się dewizą państwowości, a dwór, otoczony fascynującą legendą wsłaniałości — unosił się wysoko po nad narodem — niby niedostępną domek z bajki, umieszczony na wierzchołku szklanej góry.

Aleksandra z wrodzonym swym talentem i ujmującym sposobem bycia ostrożnie wyłamuje się

z pod jarzma rygoru despotycznej swej teściowej i idzie „w naród.” Wiedzona intuicją, obiera dla siebie drogę życiową inną, niż królowa Wiktorja i kroczy nią wytrwale, nie bacząc na przeszkody od młodzieńczych swoich lat, aż do późnej starości.

Wejść do społeczeństwa, zbliżyć się doń, dać się poznać, poznając wzajem; być wszędzie i dla wszystkich dobrą wróżką, która koł ludzkie cierpienie i ociera łzy; przeżyć wspólnie ze społeczeństwem wszystkie okoliczności życia narodowego — taką dewizę obiera sobie młodziutka Pani, przybyła z za morza.

Do polityki nie mieszała się, lecz nie omieszkala żadnej okazji, aby oddać bodaj najmniejszą przysługę charakteru politycznego bliskim sobie i zaprzyjaźnionym dworom królewskim w Danji, Holandji, Rosji i Grecji. Jej takt rozumny i wdzięk przyczynił się też niejednokrotnie do złagodzenia drażliwych sytuacji i spraw prywatnych pomiędzy jej ukoronowaną a tak liczną rodziną.

Włącznie z Wiktorją matką i królem Edwardem VII stanowi „trójkę wielkich ludzi”, którzy przez długi okres lat, każdy na swój sposób, starali się podnieść potęgę i dobrobyt państwa Brytyjskiego.

Zwana była powszechnie „Aniołem w pałacu”, „Dobrą wróżką”; jak piękna wróżka nie starzała się do późnego wieku. Wciąż piękna i uśmiechnięta z twarzą o rysach regularnych, przepysznych szafirowych oczach i o postaci owianej wyjątkowym jakimś czarem — fascynowała wszystkich, kto do niej się zbliżał.

Zapytana kiedyś przez jednego poważnego męża stanu, co robi, jakie czary wyczynia, by ujmować tak wszystkich dokoła — odpowiedziała bez namysłu: „Doprawdy nigdy nie myślę o tem — starałam się przez całe swe życie być sobą, zawsze i wszędzie sobą — oto mój największy sekret.”

Hanka Skarbek.

Z ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI Kobiet

ZJAZD SIÓSTR P. CZERWONEGO KRZYŻA.

Dn. 20 marca w Oficerskiej Szkole Sanitarnej na Ujazdowie odbył się pod przewodnictwem p. Tarnowskiej zjazd delegatów Zrzeszenia Sióstr P. Cz. Krzyża.

Zrzeszenie to zawiązane w r. 1925 liczy 350 stowarzyszonych z całego Państwa. Pozatem w kontakcie z nim znajduje się dawniej istniejące zrzeszenie Sióstr z Wielkopolski i Pomorza, liczące 150 członkiń.

Na zjazd przybyły 32 delegatki, z tych niektóre uprawnione do kilku głosów.

Odczytanie krótkiego sprawozdania i referatów fachowych, z których wyróżniała się niezmiernie interesująca relacja siostry Rabowskiej z podróży po Szwajcarii, Francji i Anglii, odbytej celem zapoznania się z obecnym stanem pielęgniarstwa w tych krajach, stanowiło część pierwszą zebrania. W drugiej ozywały się głosy stowarzyszonych, pozwalające wnikać głębiej w ich życie, jego trudy i troski.

Z głosów tych wyróżniał się siłą i szczerością głos siostry Karpowiczówny. Postawiła ona mianowicie wniosek, by z ubogich pensji swoich zobowiązały się Siostry składać przez rok po 10 zł. miesięcznie, a to celem zakupienia udziału w jednym z nowo budujących się domów, na schronisko czasowe dla Sióstr, pozbawionych zajęcia, chorych, lub potrzebujących odpoczynku.

Wniosek nadszarpujący tak szczupłe kasy Sióstr wywołany został smutnymi zjawiskami roku bieżącego. Dowiedzieliśmy się z tego przemówienia, że w r. b. zredukowano 75 Sióstr, że wiele z nich znalazło się bez dachu, rzuconych na pastwę głodu i nędzy. Wówczas doraźne opodatkowanie się stowarzyszonych i udzielenie przez Czerw. Krzyż chwilowego schronienia bezdomnym złagodziło ostrość sytuacji. Jednak by nie powtarzały się podobnie ciężkie ci i le, trzeba mieć własne schronisko. Siostra Karpowiczówna kładła silny nacisk na konieczność samopomocy, liczenia na własne tylko siły, nie oglądania się na żadne „dobrodziejstwa”.

Wniosek, mimo sprzeciwów niektórych delegatek, uważających, że składka jest za wysoka i że nie uda im się może rzeknąć wszystkich koleżanek do jej wnoszenia, przyjęty został przez Zjazd znaczną większością głosów.

Przyjęto także wniosek p. Tarnowskiej o stworzenie w Polsce Rady Narodowej Sióstr i przystąpienie do istniejącej od szeregu lat Międzynarodowej Rady Sióstr, co zapewni Stowarzyszeniom w pewnych zwłaszcza sprawach silniejsze oparcie i ułatwi im kontakt ze światem.

Z KLUBU POLITYCZNEGO KOBIET POSTĘPOWYCH.

Dn. 17 marca Klub Polityczny Kobiet Postępowych obradował nad sprawą wykluczenia kobiet od sądów przysięgłych zawartem w przedstawionym Sejmowi projekcie ustawy Opracowa y przez prawniczki memoriał, podpisany przez stowarzyszenia i instytucje kobiece i mieszane, a domagający się dopuszczenia kobiet do sądownictwa, zarówno powszechnego, jak i do sądów Przysięgłych przesłany zostanie Rządowi i władzom prawodawczym.

Poza tem Klub zajmował się projektem usunięcia od urzędów państwowych kobiet — mężatek, o ile mężowie ich znajdują się również na służbie państwowej. Odpowiedni memoriał zredagowano i opatrzone podpisami skierowany zostanie również do odpowiednich władz. Trzecim punktem obrad była sprawa ślubów cywilnych i rozwodów. Postanowiono urządzić w tej sprawie w e c publiczny.

ZE SZTUKI.

Dn. 21 marca w Salonie Sztuki przy ul. Marszałkowskiej 69 nastąpiło otwarcie wystawy prac malarskich Zofji Stankiewiczówny. Znakomita artystka dała nam znów cały szereg pejzażów pełnych życia i prawdy.

Najdłużej zatrzymywały przy sobie zgromadzoną publiczność krajobrazy z okolic Druskiennik, zwłaszcza widok Niemna we mgłach przykuwał swą smętną dalą, swą duszą, wyczuł przez artystkę i zaklętą w dzieło sztuki.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Kobieta, Wino i Dancing” komedia w 3 aktach
St. Kiedrzyńskiego.

„Wino, Kobieta i Dancing” to typowa farsa. Nie dodam francuska, bowiem różni się od swoich siostrzyczek z zachodu tonem moralizatorsko-kaznodziejskim i niepotrzebnymi frazesami o Polsce, pracy, obowiązkach, i t. d.

Frazesy te, włożone w usta jednostek bardzo przeciętnych i mało ciekawych, są poprostu śmieszne i niesmaczne. Zwłaszcza, że autor w pogoni za scenami sytuacyjnymi chwilami przebierał miarę, jak np. finał drugiego aktu (scena upicia się dziadka). Nużące też są wieczne dowcipy na temat niezaradności sejmu i głupoty posłów. Ma autor na swoje usprawiedliwienie tę okoliczność, że się podoba publiczności, że prawdziwe dowcipy pomijano milczeniem, a bito brawo po takich właśnie powiedzeniach, ale nie mówmy wtedy o satyrze!

Treść krotchwili „Kobieta, Wino i Dancing” jest oczywiście nieprawdopodobna (nieprawdopodobieństwo leży w założeniu farsy współczesnej). Uroczą pani Wandę zakochał się w młodym chłopcu, panu Kazimierz, który oprócz innych zalet umie doskonale i umiejętnie prowadzić shimmy. Warunki mieszkaniowe i materialne lekkomyślnego Kazia uniemożliwiają zakochanym zacieśnienie węzłów przyjaźni w Warszawie. Pani Wanda wpada na doskonały pomysł (zapożyczony z k'na). Kazio pojedzie do dziadka na wieś, a pani Wanda przyjedzie do staruszka prosić o opiekę, schronienie, itd. Pomysł udaje się, stary lowelas, pan Wareński wlerzy we wszystko, co śliczna Wanda mu mówi. Mało tego, zakochuje się w niej i ofiarowuje serce, majątek, i t. d. Ale dwór pana Wareńskiego ma jedną nie miłą niespodziankę w osobie wnuczki Madzi (nawiasem mówiąc, ta „panienka z okienka” naprawdę nie jest miła!), również zakochanej w kuzynku Kaziu. Madzia przejrzała panią Wandę nawszkroś i pragnie ją zdemaskować: nie jest to łatwo. Stary pan raczej wygna wnuczkę, niż zrobi przykrość czarodziejce.

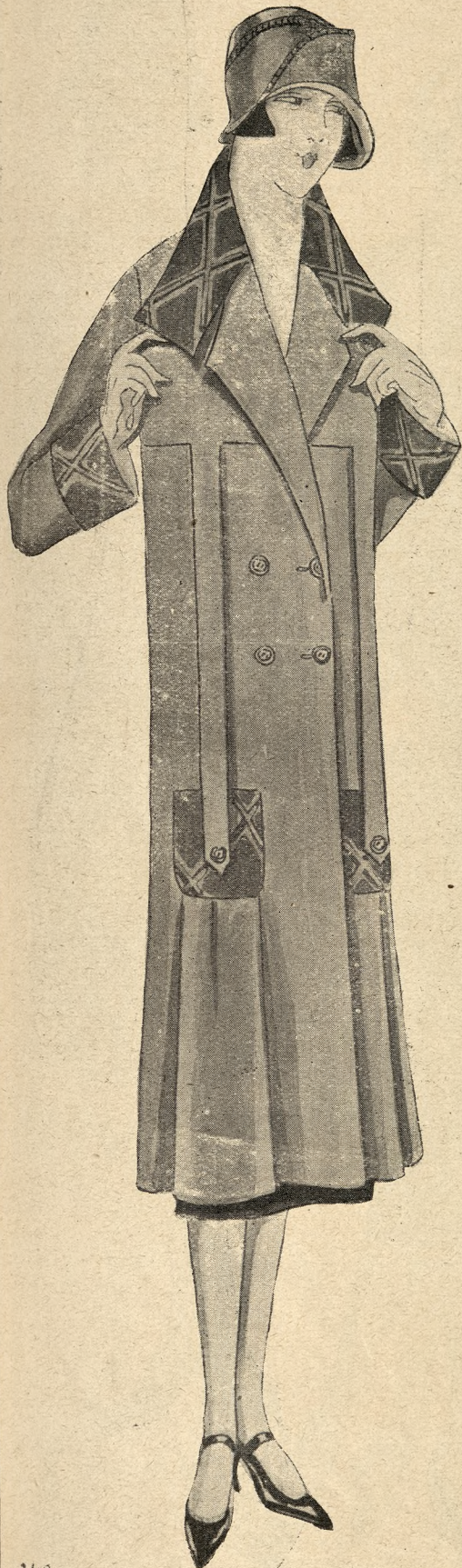
Drugą nie miłą niespodzianką domu pana Wareńskiego jest Duch tego domu, który do gruntu zmienił szalawicę Kazia. Ronans z panią Wandą zaczyna mu się wydawać czemś zdrożnym, obrażającym rodzinne portrety antyki. Na to umoralnie nie Kazia wpłynęły nie tylko stare sprzęty, ale i młodość Madzi. Panią Wandę ogarnia niepokój. Nie po to tu przyjechała, żeby stracić tancerza! Stawia Kaziowi ultimatum; albo on pojedzie z nią do Warszawy, albo ona rozwiedzie się z mężem i zostanie jego babką. Na zadokumentowanie powagi swoich słów zręcznie zmusza staruszkę do oświadczenia i urzędzenia hucznych zaręczyn. Szampan leje się strumieniem, stary traci głowę, pani Wanda tańczy swoje ulubione shimmy z ponurem, jak noc, Kazimierz, Madzia przygrywa im smętnie. Potem pani Wanda „uwo dzi” staruszkę (zupełnie pijanego), a tancerze porozumiewają się przy dźwiękach Chopina. Pani Wanda to widzi, już ma wybuchnąć — ale zjawia się mąż. Przyjechał zaniepokojony brakiem wiadomości. Sytuacja komplikuje się, ale i wyświeśla: goście odjadą do Warszawy, Madzia i Kazio się pobiorą, a stary pan będzie przesiewał żal i wspomnienie ostatniej konkiety.

Gdyby sztuka Kiedrzyńskiego nie miała aspiracji satyrycznych, byłaby bezpretensjonalną farsą, niegorszą od importowanych. Naszpikowana frazesami straciła wiele na wartości, utrudniając zadanie aktorów. Najłatwiejsze przypadło pani Mili Kamińskiej. Pozowała się ślicznie, mówiła dobrze, była uroczą, ponętną, bardzo współczesną. Panna Mazarekówna grała niewdzięczną rolę Madzi. (Istnienie istot podobnych do Madzi zawsze rozgrzesza w moich oczach późniejsze wybryki ich mężów). Pan Łuszczewski uśmiechał się przez cały czas — jest to niemiła manjera tego zdolnego aktora. Pan Maszyński przejawiał Wareńskiego. Grał szczegółikami, przez co zatracił się o charakter postaci. Pan Fritsche był doskonałym mężem dancingowej pani...

Z. P.



Mody



348.



349.

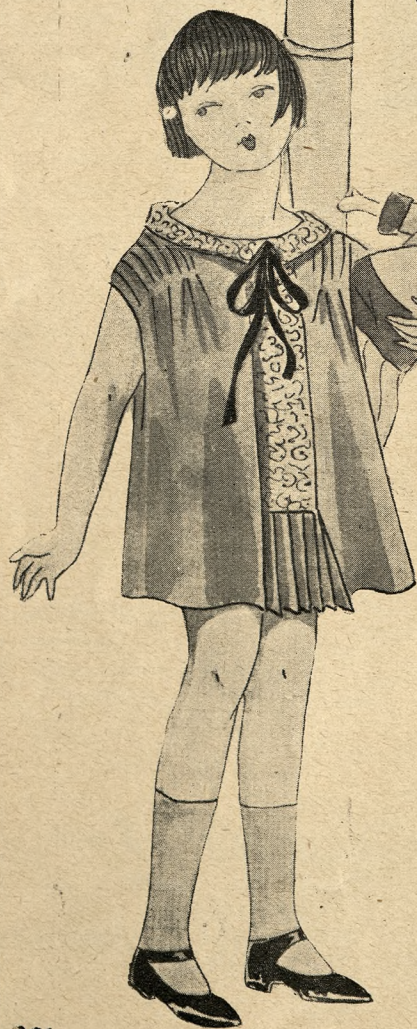
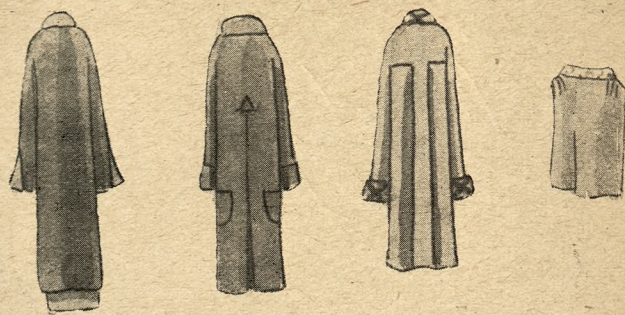


350.

i roboty



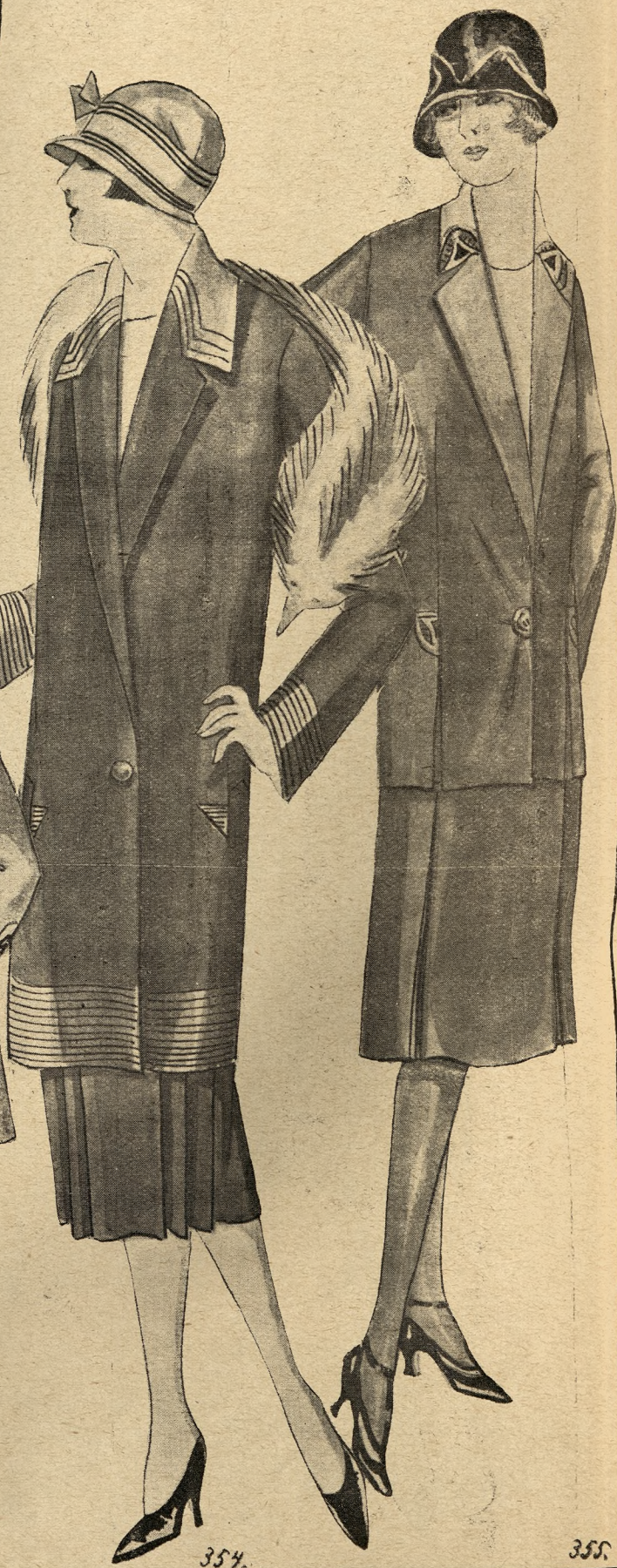
351.



352.

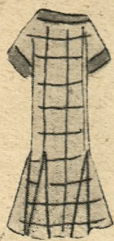


353.



354.

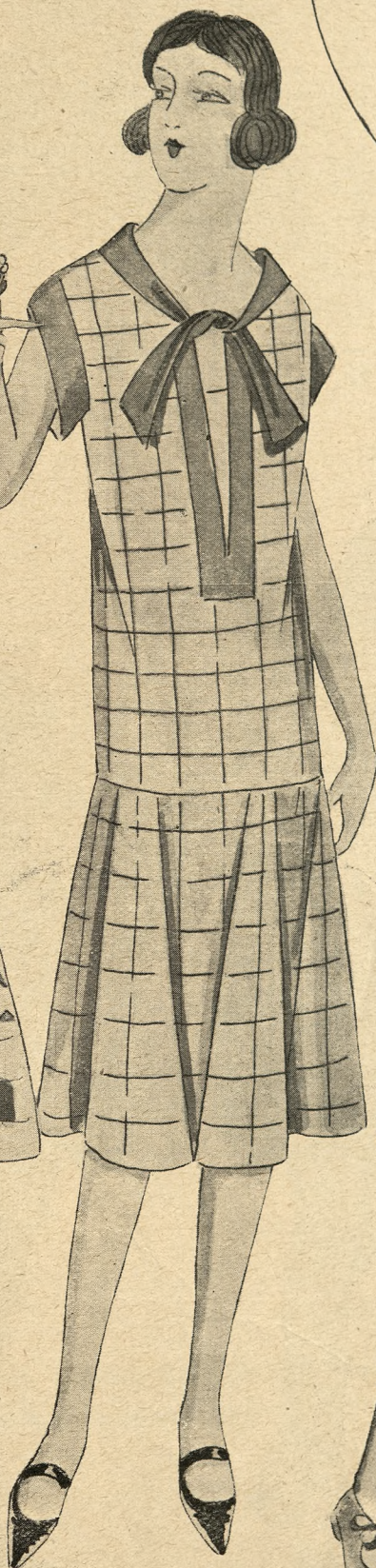
355.



360.



356.



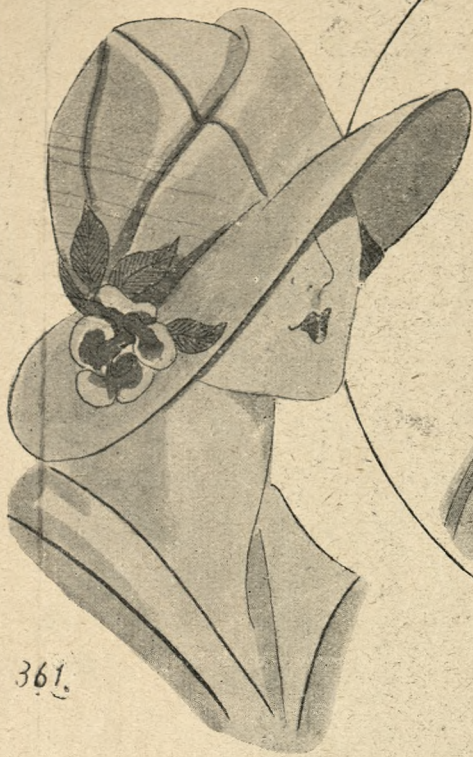
357.



358.



359.



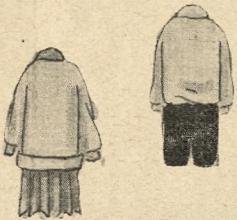
361.



362.



363.



364.



365.



366.



367.

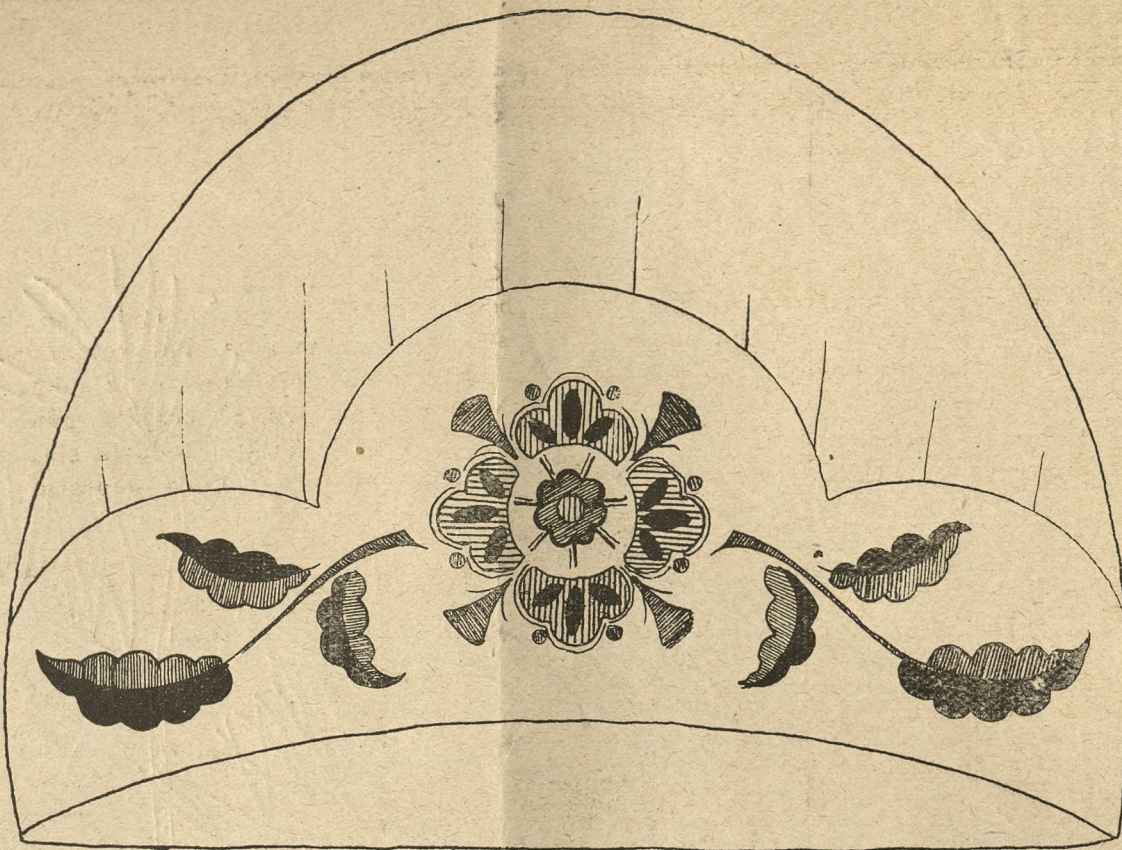


368.



369

Wzór na ekran. Na białem lub szarem tle haft tasiemeczką lar-et lub wełną. — Łodygi złoto bronzowe w dwóch odcieniach, szyszki ciemniejsze, igły sosny zielone w dwóch odcieniach, ptaki jasno popielate z czerwonym i granatowym.



SZAFIROWY.



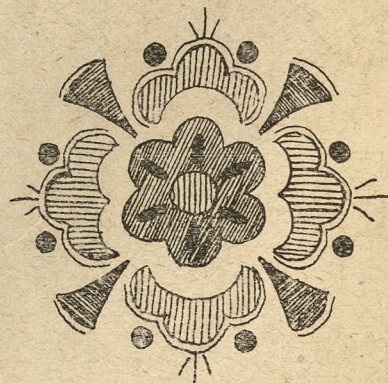
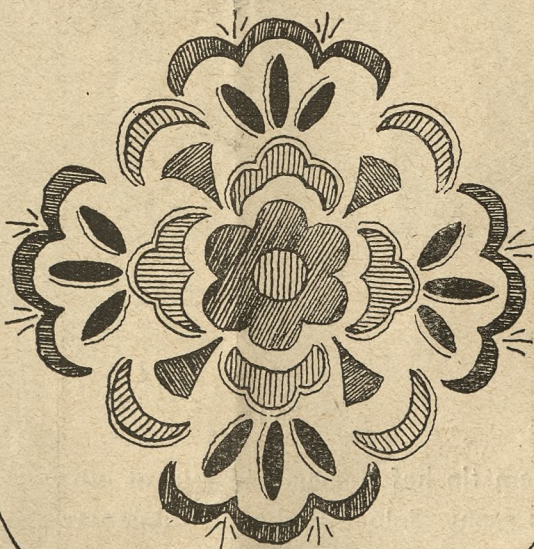
ZIELONY.



POZIOMKOWY.



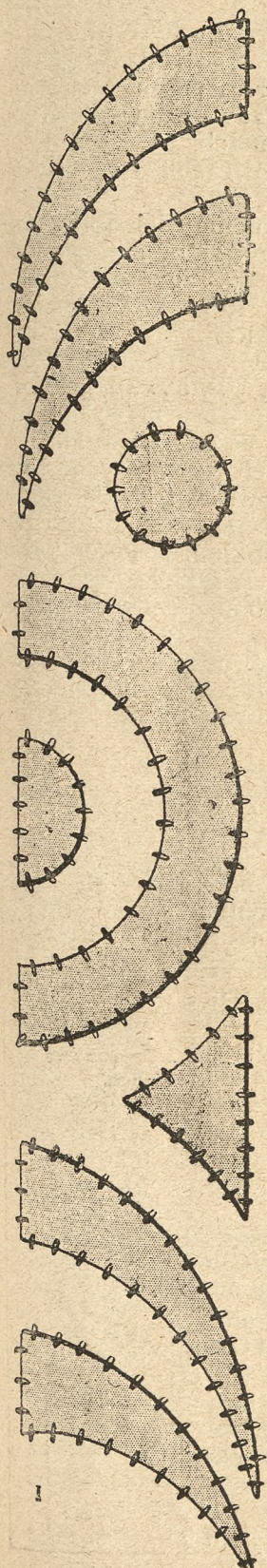
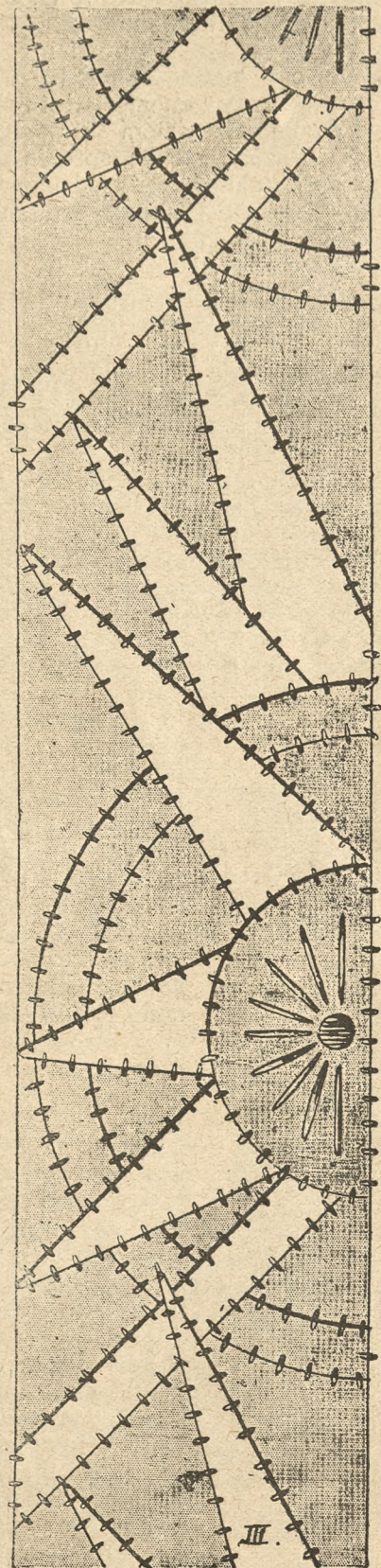
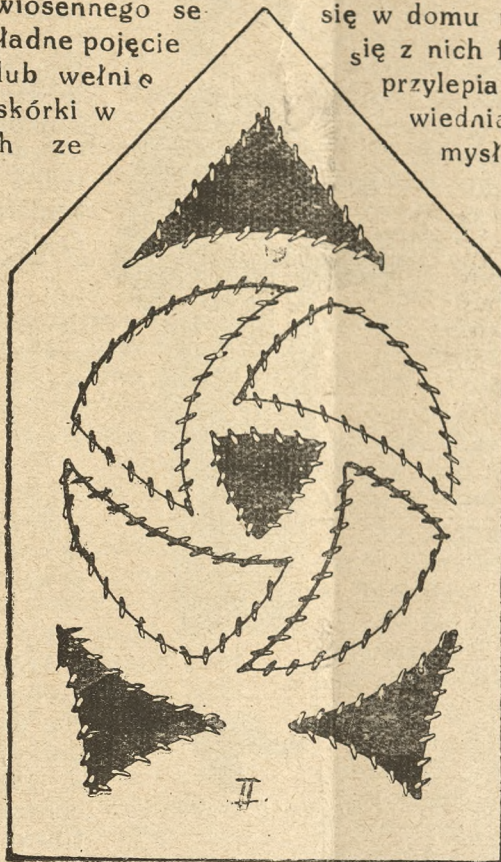
OBWIEDZONE CZARNYM.



PRZYBRANIA ZE SKÓRY

Moda aplikacji ze skóry kolorowej, rzadko przydzierganej nitką jedwabną, lub metalową, zalicza się do najwykwintniejszych pomysłów wiosennego sezonu. Rysunki Nr. I, II, III, dają dokładne pojęcie o wykonaniu aplikacji. Na suknie lub wełnie aplikacje powinny być z miękkiej skóry w tym samym tonie, na jedwabiach ze

skórki metalicznej, złotej, lub srebrnej. Skóry są obecnie wyprawiane tak miękko, że dadzą farbować się w domu na potrzebne kolory i cienie. Wycina się z nich figury, tak jak z sukna lub aksamitu, przylepia lekko i przydzi rguje rzadko odpowiednią nitką. Moda ta stwarza śliczne pomysły i ozdabia naprawdę każdą suknię.



SMOKING

W Paryżu lansują smoking damski. Pomysł ten jest rozpatrywany dostronnie. Jedni, pesymiści, którzy chętnie krytykują, patrzą na tę nowość, jako na wybrzyk ekscentryczny i chorobliwy. Inni, ci, którzy łatwiej godzą się z życiem, bo obrali sobie metodę wyszukiwania dobrych strojów we wszelkich jego przejawach, pochwalają i pomysł i twórcę i... te, które są zwolenniczkami smokingów.

A my? Czy wypowiemy też swoje zdanie, czy wyższe ponad to przejdziemy do porządku dziennego i letnich sukien?

Przedewszystkiem kto chce sądzić, musi zapoznać się ze sprawą do gruntu. Smoking, taki jak go widzimy w Paryżu, wolny jest od ekscentryczności i fanfaronady.

Smoking ten, to rodzaj kostiumu tailleur. Spódniczka gładka, zakieciak, kroju smokingowego, tak bardzo szykowny i podnoszący figurę, biała bluzka z kołnierzykiem, krawatem i mankietikami, i kamizelka zapięta na trzy guziczki, kamizelka pikowa, lub jedwabna, stosownie do pory dnia i przeznaczenia.

Smoking wieczorowy, wykonany bywa najczęściej z aksamitu. Podbity jedwabiem, z takiemż wylogami, nosi się do czarnej spódniczki wełnianej, z lekkiego frakowego materiału. Strój ten uzupełnia biała jedwabna kamizelka, zamiast kołnierzyka i krawat żabot koronkowy. Pantofelek czarny lakierowany i cielisty pończoszka dopełniają całości.

Smoking dzienny, przeznaczony do wyjścia i pracy, jako materiał upodobał sobie szewjot w wysokim gatunku, a jako kolor ciemny granat. Krój i akcesoria te same, za wyjątkiem kamizelki, którą nosi się wówczas nie jedwabną, a pikową i żabota zastąpionego kołnierzykiem i krawatem.

Moda ta stosowana bez przesady może nie tylko przyjąć się, ale zasłużyć sobie na uznanie szczególnie w środowisku kobiet pracujących. Jeżeli odrzucimy szczegóły wnoszące w całość tej sympatycznej nowości podłoże ekscentryczności, a więc obowiązkową kamizelkę, wysoki, sztywny kołnierz i męski krawat, pozostanie nam wygodna, przyzwoita i upraszczająca kwestję toalety i wydatków na takową, forma. Znam wiele kobiet nawykłych do wykwiniego ubierania się, które angielskiemu kostjumowi dają zawsze pierwszeństwo, nosząc go w domu i na ulicę w sezonach wiosennym, letnim i jesienno-wiosennym, narzucając jedynie w okresie mrozów i chłódów ostrzejszych palto, lub futro na takowy.

Krój bez zarzutu, lekki i wykwinny materiał, czysto jedwabna podszewka i świeża biała bluzeczka, oto sekret wykwinnego i za-



p. dr. Latour w smokingu

wsze stosownego wyglądu. Wyłączając jakieś przedstawienia galowe, łoże teatralne, wieczorowe zebrania, w stroju takim można znaleźć się wszędzie, a jadąc w świat, wystarczy wziąć ze sobą dwa kostjумы, jeden skromny, drugi trochę wykwinniejszy, odpowiednią ilość bluzek, jedną suknię wieczorową, co upraszcza kwestję bagażu, a jest więcej niż wystarczające?

Nie każdy typ urody i nie każda linja nadaje się do tego rodzaju ubrania. Jednak figury dobre i przeciętne, osoby szczupłe i średnie, zawsze awantażownie wyglądają w kostjumach, więc też i kostjum—smoking będzie solidaryzował się z ich wyglądem.

Co za wytchnienie dla osoby pracującej! Nie wyzbywając się dbałości i wykwinu w ubraniu, zbryć się ciężaru myślenia o coraz to innych, nowych, a modnych gałgankach.

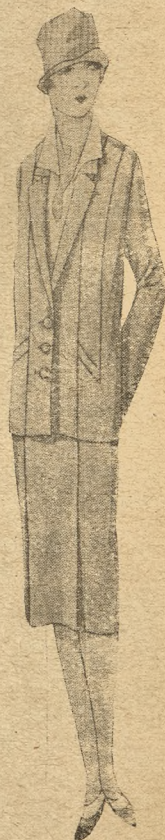
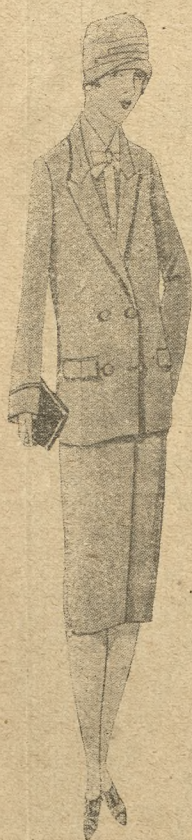
Trudno byłoby zalecać ryczałtowo taką linję wytyczną. Pochwalając modę, o której mowa, mam na myśli przede wszystkim osoby poważne (niekoniecznie wiekiem), których życie czynne i wydajne, życie pracowite tak źle chodzi parze z ciągłą troską sztucznego rozszerzania wąskich sukien, a potem gwałtownego zwężania szerokich. Kończy się

to zwykle tem, że są one źle, lub niestosownie ubrane, nie mając czasu, ani ochoty „wczuwać się w chwilę”. Do nich to właśnie wyciąga dobroczynną rękę moda, stwarzając coś, co zawsze stosowne, będzie przytem ładne i eleganckie. Smoking został przyjęty w gronie tych, co stanowią o modzie, nęćgół przychylnie. Amerykanki, jak zwykle, nie wiedząc, co robić z pieniędzmi, sprawiają sobie podobno po kilka sztuk, każdy o innym typie i innej nazwie. W magazynach, stworzonych do płoszenia pieniędzy z kieszeni przeciążonych takowemi, pojawiają się kreacje za kreacjami. Modele najmodniejsze, to: wieczorowy tak zwany „En soirée”, drugi identyczny, różniący się tylko kolorem, który zamiast czarnego jest ciemno fioletowy, zwie się „Monsieur Beaucaire”, a wreszcie ciemno-granatowy spacerowy, o mianie „Yes Sir”, tworzą triumwirat najnowszy w myśleniu.

W świecie poważnej pracy ukazał się smoking na drobnej szczupłej figurce pani doktorowej Latour, która tak dzielnie prowadzi wraz z mężem sanatorium Mont — Boron.

Zapytywana, co myśli o nowej kreacji, wypowiedziała się, jako jej gorąca zwolenniczka, życząc przytem smokingowi jak najdłuższego panowania w imię wygod, tak własnej, jak i licznych jej współwyznawczyń.

W. D.



PLOTKI O MODZIE

Idąc na five do Loli Bywalskiej myślałam, że mi się uda spędzić przyjemnie popołudnie i oderwać choć na parę godzin od wszelkich codziennych kłopotów. Stało się jednak inaczej. Już zdejmując w przedpokoju okrycie, dojrzałam przez uchylone drzwi salonu wyostrzony sztucznym obchudzaniem się profil Kunegundy Snobikowskiej, której organicznie nie znoś. To mi odrazu zepsuło humor. Nadomiar złego Lola, z rzadkim u niej brakiem taktu, zapominając, że się przy artylerzystach nie mówi o armatach, odrazu wystąpiła z szeregiem fachowych pretensyj do mnie.

— Coś ty nawypisywała?! wołała oburzona, klosze niemodne, godety niemodne!.. A ja mam nowiuteńki jesienny kostjum, zrobiony kloszowo, zaledwie parę razy zdążyłam go włożyć przed mrozami i już na wiosnę miałby być niemodny. Albo z kolorami. Pod sam koniec karnawału sprawiłam sobie tualetę cyclamene, liczyłam, że mi się przyda w zielonym karnawale, a tu nagle kto... moja najserdeczniejsza przyjaciółka pisze i drukuje, że kolor cyclamene należy już do przeszłości.

Zaczynam podziwiać mądrość żydowską, oni się modlą: „chron nas Panie od naszych przyjaciół, z nieprzyjaciółmi poradzimy sobie sami“. Zanim, zgębiona ostrością zarzutów, znalazłam jakiś argument na swoją obronę, zabrała głos pani Kunegunda.

— Mylisz się Lolu, rzekła głosem pełnym słodyczy, słodczy, która przywodzi na myśl lukrecję i sacharynę, w żadnym zaś wypadku, cukier, lub miód, pani miała zupełną rację, stwierdzając z pewnem opóźnieniem, prawdę dawno już wszystkim, choć trochę eleganckim kobietom, wiadomą. To przecie wstyd i hańba, że Warszawa dotąd jeszcze daje się conajmniej o jakieś półtora sezonu wyprzedzić wszystkim innym stolicom Europy. I chcemy o tem wszystkim, aby się z nami liczone, mamy czelność domagać się stałego miejsca w Lidze Narodów.

— No wiesz, wybuchnęła Lola, dobre sobie! Uzależniać miejsce Polski w Lidze od tego, czy będziemy nosiły godety, czy też kontrafałdy.

— Tylko nie kontrafałdy. Tylko nie kontrafałdy, przerwała Snobikowska, na miłość boską nie kontrafałdy. W Paryżu nikt nie nosi ani kontrafałd, ani plisowań, ani bois de rose'ów, ani vert mousse'ów, ani żadnej z tych rzeczy, które nam tu sprzedają jako nouveautés de Paris. Paryż dawno zdążył zapomnieć, że to było kiedyś modne.

— Więc cóż u licha noszą w twoim Paryżu, zapytała Lola zniecierpliwiona.

— A tego właśnie dowiemy się od naszej miłej i lochanej pani Well, zaśpiewała Kunegunda swoim najpiękniejszym dyszkantem i zwróciła się do mnie z wdzięcznym uśmiechem, który mi się z pewnością przyśni, kiedy będę miała gorączkę. Przyznaję, że byłam zła.

— Panie wybaczą, że się wypowiem w druku, odparłam lodowato, wątpię zresztą, żeby moje prawnicze mody mogły zadowolnić panią Snobikowską, gdyż niestety wiadomości z Paryża otrzymuję via Warszawa.

Dalszą wymianę zdań przerwało wejście niemłodej damy, wielce ujmującej powierzchowności.

— Nie wiedziałam, że Pani znów w Warszawie, zawołała Lola, witając ją radośnie.

— Przychodzi pani w samą porę, aby rozstrzygnąć spór, który tu wiemy. Jako stała mieszkanka Paryża wie pani z pewnością najlepiej, co teraz noszą w Paryżu?

— Noszą, odparła miła dama z dziwnym uśmiechem, bardzo dużo ciężkiej żałoby po poległych w Marokku.

— No tak, odrzekła niestrapiona Kunegunda, toby wróżyło powodzenie czarnemu kolorowi, ale jaki jest najmłodniejszy krój? Co charakteryzuje najmodniejszą sylwetkę paryżanki.

— Bardzo mi trudno będzie zadowolnić pani ciekawość, odparła powoli nowoprzybyła. Paryż, jak i cała Francja, żyje pod znakiem oszczędności, każda francuzka donasza to, co ma. Że posiadają przytem bardzo dużo smaku i wrodzonego sznytu, potrafi każda midinetka wyglądać w sukience z przed trzech lat, jak model, wycięty z ostatniego żurnalu. Kwestja dostosowania sukni do swego typu, a szczegółów i drobiazgów do sukni. Widuje się na ulicy, zarówno suknie wąskie, jak i szerokie, godety, kontrafałdy i karby zdają się posiadać jednakowe prawa obywatelstwa, zwłaszcza jeżeli są harmonijnie pomysłane. Zresztą dziś bardziej, niż kiedykolwiek szyk Paryżanki jest rzeczą wrodzoną, przychodzącą samo przez się. Nikt tam specjalnie o strojeniu się nie myśli. „On a mieux à faire que de penser chiffons“. Strojem, cieszącym się największą popularnością i powodzeniem, jest ubiór siostry miłosierdzia.

W czwartkowym saloniku Loli Bywalskiej zaanowowało przydługie milczenie.

Well.

HISTORIA RĘKAWICZKI

II.

Ludzie średniowiecza i renesansu kochali się poprostu w aromatach. Im większy zaduch panował w nigdy nieprzewietrzanych komnatach zamków i w niechlujnych ulicach miast ówczesnych, im gorsze były warunki higieny i komfortu, tem silniejszą „eteromanja“ kondotjerów i strojnych dam, tem gwałtowniejszą żądza upajania się wonnościami, tem powszechniejszą moda zagłuszania perfumą niezbyt ponętnej woni nigdy nie mytego ciała.

Rękawiczki nie pozostały wtyle w tej ogólnej pogoni za rozkoszą powonienia. Wszczyna się walka między rękawicznikami, wyrabiającymi rękawiczki

skórkowe, a niciarzami, fabrykującymi rękawiczki dziane, o tytuł perfumiarzy. Zwyciężają ci pierwsi, wiążąc się w cech rękawiczników-perfumiarzy, a herby cechu „trzy rękawiczki srebrne, a w górze złota kadielnica na lazurówym polu“, albo „na lazurówym polu rękawiczka ze złotą frendzlą na oszczepie, a po bokach dwa srebrne bizantyńce“) zostały wpisane do Herbarza francuskiego w r. 1424. Czeladnik usiegający się o tytuł majstra cechowego, musiał wykonać „majstersztyk“, „arcydzieło“ sztuki

*) Moneta bizantyjska.

rękawicznicej, które polegało na tem, „aby parę rękawiczek skrajać dobrze i należycie, uszyć ją i nasycić miłą wonią i barwami, sprzedać wykończoną i doskonałą, gotową do włożenia na rękę“...

Wyrób jest jeszcze bardzo prymitywny, aż do wynalezienia patronów cynkowych.

Dopiero w w. XVI ukazuje się rękawiczka glansowana, ale zanim to nastąpi, rozwinię się niesłychanie strona dekoracyjna rękawiczki i nad jej zdobieniem wysiła się fantazja najprzedniejszych mistrzów Francji, Hiszpanji, Włoch i Niemiec.

Wkraczamy w najświetniejszy okres historii rękawiczki. Przestaje ona być używana przez pospólstwo, a staje się przedmiotem zbytku wyższych sfer, dzięki pokrywającym ją klejnotom i kosztownym haftom. Wiek XV przynosi częste zmiany i kaprysy w jej używaniu. Agnieszka Sorel wprowadza modę rękawiczek, zdobnych koronkami, Marja Andegaweńska zamawia tuzinami rękawiczki białe, kozłowe. Junacy za panowania Ludwika XI paradują z rękawiczką założoną za pas, a tradycja przechowywała nam postać Franciszka I-go, jako pięknego księcia o perfumowanych rękawiczkach.

Przechowało się z końca tego wieku kilka charakterystycznych par, np. rękawiczka pół długa, wyszywana w lilie na grzbiecie dłoni i z potrójną girlandą kwiatną na ramieniu. Całość bogata, a nie przeładowna ozdobami. Na dworze królowej Elżbiety spotykamy rękawiczki o dużych mankietach.

Perfumowane rękawiczki hiszpańskie są bardzo poszukiwane, poczynając od w. XIV. Odnajdziemy je łącznie na rączkach francuskiej „précieuse'y", wykwinłnisi, ośmieszanej przez Molięra, poetyzowanej przez Rostanda w „Cyrano de Bergerac". Na dworze Katarzyny Medycejskiej robią furorę rękawiczki włoskie bogato haftowane złotem, z minjaturami, malowanymi gwaszem, a ujęte w ramki z prawdziwych pereł. Częste wypadki zatrucia rękawiczek perfumowanych nie zmniejszają ich powodzenia. Stoi się w nie nawet Elżbieta Angielska, nie bacząc na szemrania otaczających ją dworaków.

Czego tam niema na ówczesnej rękawicze? Prawdziwa orgia barw i kształtów. Hafty, koronki, perły, drogie kamienie, wstążki, frendzle, ażury, malowidła ręczne, rozetki, fałdy, kokardy z pasmanterji — tysiące kombinacji gwoździ urozmaicenia i upiększenia nadobnej faworyty epoki. Kształt jej również jest zmienny i waha się między długą rękawicą w pasy, a względnie krótką rękawiczką z czasów Henryka III, której ornament składa się ze skrawków wstążki zielonej, tworzących napięstek, a rozetek na brzegach i ze szwów podkreślających rysunek palców. Współczesne damy nie siły chętnie rękawiczki t. zw. „drobione", czyli poprostu „mitenki", w których mogły swobodnie robić koronki, co należało do dobrego tonu za Henryka III.

W XV-yim wieku spotykamy jeszcze rękawiczki o wyłogu gładkim lub karbowanym, szczególnie w sąsiedztwie rękawów bufiastych, lub zakończonych koronką, za to zapewne w tym celu, aby żywa barwna plama lepiej zarysowała dłoń.

Z tych czasów zapewne pochodzi zwyczaj spania w rękawiczkach, t. zw. weneckich, wyrobionych z najmiększej skórki jagnięcej i nasyconych kosmetykami. W tej epoce również narodziło się porównanie: „giętki jak rękawiczka", bo nielada cienkim i podatnym materiałem umiał rozporządzać ówczesny białoskórnik, aby na tle złotem lub srebrnem rozwinąć całe bogactwo wyszyć różnych i błękitnych, tak delikatnych, że robią wrażenie muśnięcia kwiatem, nie zaś żmudnej pracy igłą.

Że te same upodobania panują i na dworze Stuartów, świadczy rękawiczka królowej Anny, żony Jakóba I-go, ze skórki koloru piaskowego, wyszywana złotą i srebrną nicią. Drobnutkie różyczki złote i srebrne zdobią grzbiec dłoni, a mankiet jest jednym wirydarzem róż, usianych gdzieś zielonemi i żółtymi centkami, niby liśćmi.

Ciężka koronka okala rąbek linią falistą. Inna rękawiczka, należąca do Karola I-go, jest niemniej bogato i kunsztownie zdobiona.

Biały mankiet jest zahaftowany jedwabiami oraz nicią złotą i srebrną w drobne różyczki żółte, ponsowe i różowe, z plamkami zieleni i błękitu, rzucanemi gdzieś od niechcenia.

Nawet Niemcy, trzymające się wówczas na uboczu od prądów mody, wytworzyły pewien typ rękawiczek, np. rękawiczki z cienkiej skóry jagnięcej, inkrustowane deseniami z czerwieni i zapomocą taśmy przymocowane do ramion, albo rękawiczki z białej skórki z wyhaftowanemi złotem herbami Elektora saskiego, a przymocowane do rękawa zapomocą specjalnej klapki.

We Francji rękawiczka nie była nigdy w takich łaskach, jak w w. XVII. W pierwszej jego połowie jest ona prawdziwym klejnotem ubioru, za Ludwika XIV jest niezbędnym zakończeniem stroju, w jakim „grzeczny pan" godnie się prezentuje w „grzecznej kompanji". Właściwy epoce zmysł umiaru i ładu uzewnętrznia się zarówno w kroju rękawiczki, jak w strukturze wspaniałego pałacu.

A jednak na początku w. XVII zbytek w rękawiczkach dochodzi do przesady, skoro pewna dama, za panowania Henryka IV, zdobi je brylantami. Jakże kosztowne musiały być te sześć par rękawiczek, które stanowiły jedyny prezent ślubny Henryjety francuskiej, gdy zaślubiła Karola I-go, króla angielskiego.

Od czasów Henryka III rozpoczyna się panowanie wspomnianych już rękawiczek perfumowanych, którym „précieuse'y" nadają wyszukane imiona: „à la Phyllis, à l'occasion, à la frangipane" (rodzaj ciasteczka śmietankowego).

Anna Austriacka, królowa o pięknych rękach



Rękawiczki koronkowe.
W. XVI.



Mitenki jedwabne,
haftowane kolorowemi jedwabiami.

sprowadza chętnie rękawiczki z Hiszpanji, jak o tem świadczy następujący bilecik, adresowany do księcia Arcos.

— Księżę panie i miły kuzynie, posyłam ci rękawiczkę na miarę i proszę cię, abyś mi zechciał przysłać cały tuzin...

W tych czasach nadmodniejszym rękawicznikiem był Martial, ale i liczni białoskórnicy w Galerji Pałacowej cieszyli się powodzeniem pięknych dam i strojnych paniczów. Rękawiczka z brązowej skóry o wyłogu z czarnego haftowanego aksamitu, miotana ręką szlachetnego kawalera pod nogi przeciwnika, kosztuje napewno 70 talarów, podczas gdy najdroższa para rękawiczek damskich warta jest przeciętnie 50 talarów. Pomimo tej wysokiej ceny rozpowszechnia się w najlepszych sferach zwyczaj rozdawania rękawiczek, jako podarków.

„Kiedy zapraszano damy na podwieczorek — opowiada Fallemant des Réaux, — należało do dobrego tonu, po poczęstunku podawać miednicę pełną perfumowanych rękawiczek hiszpańskich; każda dama wybierała sobie parę według gustu. Ten zwyczaj, przyjęty narazie tylko na dworze, rozpowszechnił się po całym mieście. Ludzie dobrego towarzystwa wydawali nieprawdopodobne sumy na rękawiczki dla dam”.

Za Ludwika XIII zapanował we Francji zwyczaj hiszpański dawania pary rękawiczek w nagrodę temu, który przyniósł jakąś nowinę. Wiek ów znał walor gestu i słowa. Niewątpliwie ani fabrykanci rękawiczek, ani wytwórcy nowin nie skarżyli się na zwyczaj tak łaskawy dla szybkobiegaczy i plotkarzy.

W r. 1633 i 1634 edykty Richelieu'go, wymierzone przeciw zbytkowi, zabraniają noszenia haftów złotych i srebrnych, zastępując je wstążkami i jedwabiem. Przebiegła moda i tu jednak znajduje wyjście. Wynaleziono właśnie sposoby barwienia kryształu i powstałe tą drogą ametysty, szmaragdy, rubiny, topazy, niczem roje much tęczyowych obsiadły wierzch rękawiczki i rozproszyły się pośród kwiatów wyhaftowanych na wielkim jej mankiecie. Za czasów Mazarini'ego zawiązywano sobie u napięstka t. zw. „fawory“ i moda ta przeszła i na rękawiczki damskie półdługie, które umacniano wokół ręki zapomocą wstążki, przyczem rękawki sukni były krótkie, jak to widzimy na portrecie Marji Teresy w chwili, gdy przedstawiano ją Ludwikowi XIV. Rękawiczki damskie są wówczas bardzo jasne, cienkie,

i nasycane tą samą perfumą, co i bielizna. Skóra jest materiałem, panującym prawie wyłącznie.

Wyjątek stanowią rękawiczki kościelne osób duchownych, dziane z cienkiego jedwabiu i ubierane aplikacjami z haftów również jedwabnych.

A teraz spójrzmy, jakie koleje przechodziła rękawiczka w Polsce. Oto Szujski znalazł w archiwum miejskim w Krakowie testament z w. XV, rozporządzający puścizną kilkunastu tysięcy par rękawiczek przykrojonych, przeznaczonych dla Flandrii. Dowodziło to, że w Polsce ówczesnej rozwinięty był przemysł białoskórniczy.

Na grobowcach marmurowych z w. XV i XVI widzimy matrony z rękawiczkami w ręku. Adam Jarzemski, muzyk Władysława IV, wspomina w opisie ówczesnej Warszawy, że panie chodzą w rękawiczkach po mieście. W wyprawie księżniczki z r. 1650 mamy wymienione rękawiczki na zielonym hałasie,

tureckim złotem szyte, gronostajami podbite, a także haftowanych par 3 francuską robotą, francuskich szarych par 4 i francuskich białych par 3. W XVIII wieku niewiasty zamożniejsze wychodząc z domu kładły rękawiczki jerchow po łokieć długie, albo też bez 4 palców, przykrywane kłapką jedwabną, złotem lub srebrem szytą.

Wchodzą w życie rękawiczki czarne, siatkowe o jednym palcu z kłapką, spadającą na 4 palce, czyli t. zw. mitenki.

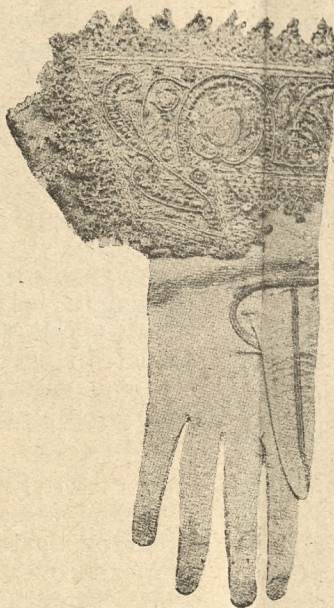
Uboższe osoby robiły je sobie z nici białych, co widocznie przeszło aż do ludu, bo jeszcze w trzeciej ćwierci XIX wieku widziano na Podlasiu mężczyzn, robiących sobie w porze zimowej szydełkiem, czyli t. zw. „kulką“ dwupalczaste rękawiczki z białej przędzy jedwabnej.

Gołebowski, piszący w 3 dzieśiątku XIX w., powiada, że rękawiczki kolorowe damskie przedtem z zagranicy sprowadzane, teraz w Warszawie u Grossa 500 do 600 szwaczek wyrabia rękawiczki z 40 tysięcy skórek jagnię-

cych, a doścignąć ten zakład usiłują: Miwet, Schipold, Sandman i inni.

Mężczyźni do polskiego stroju dawniej nie używali rękawiczek z wyjątkiem podróży w zimie i do zbroi. Żeby nie dotykać gołą ręką rączki damy, kładziono przez uszanowanie czapkę na swoją, a stąd poszedł zwyczaj trzymania przy sobie czapki w tańcu.

Szero.



Rękawiczka skórkowa z mankiemtem ze złotej koronki, haftowanej kolorami.

POMARAŃCZE I CYTRYNY

Drzewa pomarańczowe, odmiana drzew cyfrynowych, różnią się od nich kształtem liści, kolorem i smakiem owoców. Kwiaty, tak jednych, jak drugich białe, czasem ze spodu jasno-fioletowo zabarwione, mają zapach silny, upajający, użytek ich owoców jest powszechnie znany. Kwiat pomarańczowy, symbol dziewictwa, od dawnych czasów używany bywa na ślubne wieńce — nietylko jednak idealnym jest użytek z niego, zawierając bowiem dużo olejku ete-

rycznego, służy do wyrobu przez dysylację wodną olejku kwiatu pomarańczowego, czyli olejku nerelowego, wyłącznie używanego do fabrykacji perfum. Przy dysylowaniu tego olejku, jako produkt uboczny otrzymujemy wodę z kwiatów pomarańczowych bezbarwną — bardzo wonną, używaną do celów kosmetycznych, lub lekarskich.

Jest ona znakomitą środkiem na choroby oczu, uspokojenie nerwów etc. We Francji ogół-

nie używana, zwłaszcza dla dzieci, jako napój kojący — podaje się w wodzie ocukrzanej z domieszką kilku, lub kilkunastu kropli tego wonnego nektaru.

Pomarańcze pochodzą z Azji Mniejszej, rosną też w Afryce, Ameryce i w Europie Południowej. Im bardziej na południe, tem owoc słodszy. Najśłodsze z europejskich są z Włoch południowych, z Sycylii i Hiszpanji, dojrzewają też w południowej Francji i Tyrolu, ale są kwaśne z twardą skorupą. U nas pomarańcze hodowane bywają pod dachem dla przyjemności, nie dla korzyści, w pomarańczarniach czyli cieplarniach. Największe z takich hodowli były w Rdzynie w Poznańskim i w Nieborowie, własności ks. Radziwiłła z Nieborowa, kupione przez Cesarza rosyjskiego, przewiezione z stały wspaniałe cytrynowe i pomarańczowe drzewa początkowo do Warszawy do sławnej pomarańczarni w Łazienkach, skąd w r. 1897 znaczną część najpiękniejszych zabrano do Petersburga, gdzie ich srotał napewno taki los, jak i ich właścicieli. Niektóre odmiany pomarańczę dadzą się hodować w pokoju, jako rośliny ozdobne, do takich należą: pomarańczka gorzka, której owoce małe, bardzo gorzkie używane są na nalewki, karłowa i bergamota. Liście prawie wszystkich odmian mają woń balsamiczną, korzenną, smak korzenno-gorzki, używa ich się w naparze, jako środek uspakajający w napadach kurczowych.

Niedojrzałe pomarańczki, tam gdzie ich rośnie obfitość, zbierają, gdy spadają z drzew, suszą, poczem nabierają takiej twardości, że dają się toczyć i rzeźbić jak drewniane. Kolor mają s. arawo-brunatny, lub zielony, a używa ich się jako paciorki do różańców. Mało kto domyśla się, że kupowane we Włoszech pięknie rzeźbione o subtelnym zapachu pamiątkowe różańce są zrobione z różnej wielkości opadłych zawiązków pomarańczy. Skórki pomarańczowe po zdjęciu ich z owocu, oczyszcza się z białego rdzenia, pozostawiając tylko żółtą pełną olejku powierzchnię. Tak jak z kwiatów wyrabia się z nich olejek zwany portugalowym. Kolor ma żółto zielony, który zczasem jeszcze żółknieje i gęstnieje. Używa go się do fabrykacji wódek, likierów i różnych perfum. W domowym użytku skórka pomarańczowa ma rozliczne zastosowanie, bardzo jest ceniona jako dodatek aromatyczny do ciast, legumin i cukierków, nalewki i likiery z nich własnego wyrobu, powszechnie są lubiane, a wódka Redłówką zwana, nalewka na gorzkie pomarańczki, niema nigdzie sobie równej. Znakomite i bardzo zwłaszcza w Anglii lubiane są wszelkie: konfitury, marmolady i jam'sy pomarańczowe.

Pomarańcze cieniutko postrugane ze skórką, usmażone na rodzaj galaretki gorzkiej bardzo zdrowej, stanowią u Anglików nieodzowny dodatek do śniadania. U nas pomarańczowa marmolada coraz bardziej jest lubiana, a tem samem coraz lepiej przygotowywana.

Pora do smażenia i robienia nalewek obecnie najwłaściwsza, trzeba skorzystać z niej i zaopatrzyć naszą spiżarnię w te dobre i bardzo zdrowe przetwory. Cenioną także, na likiery zwłaszcza, jest mandarynka, różni się od pomarańczy układem liścia i mniejszym wzrostem tak, że prędzej idzie w krzaki niż w drzewa. Owoc jej spłaszczony, mniejszy i słodszy od pomarańczy, ma silny, specjalny zapach nie wszystkim smakujący. Ogólnie lubiany, bardzo orzeźwiający owoc pomarańczy jest rozchwytywany, s. ik jego orzeźwiający dla chorych w gorączce, dodany do wody zwie się oranżadą. Cytryna rodzona, że ją tak nazwę, siostra pomarańczy, mniej jest wrażli-

wą na warunki klimatyczne. Starannie hodowana w okolicach Genui, Nervi, Monaco, Nicei, wyrasta w piękne, drzewa o dużych dorodnych owocach. U nas przeciwnie, jak pomarańcze, które w budynkach pozostają zwykle małe i gorzkie, cytryny bez wielkich zachodów dojrzewają i rodzą bardzo obficie. Jednakże są kwaśniejsze, mają więcej pestek i grubszą skórę od sprowadzonych z południa. Zastosowanie cytryn ogólnie jest znane, sok ich używa się do herbaty i wody, do zaprawiania sałat i sosów zamiast octu, a nawet do wywabiania plam rdzawych i atramentowych z bielizny i odzieży. Skórka bardzo aromatyczna ma zastosowanie do ciast i kompotów zwłaszcza z jabłek. Olejek cytrynowy wyciągany z gruczołków, na powierzchni skórki znajdujących się, nazywa się olejkiem cedronowym, ma barwę jasną, żółtą, zapach przyjemny, smak ostry, używa się do perfum, likierów, konfitur etc. Cytryna pochodzi z Indji, do Europy sprowadzoną została w czasie wojen krzyżowych. Prędko zaklimatyzowała się, stając się produktem, bez którego prawie niepodobna się obejść. Znakomite są konfitury zwane na południu „cytronatem“, lub „sukkadą“ wyrabiane z odmiany cytryny, zwanej prawdziwą, u nas mało znanej, bo prawie nie sprowadzanej. Pośrednia odmiana między cytryną, a pomarańczą, idąca w drzewa wyższe, o kwiatach z zewnątrz i z wewnątrz zupełnie białych, zwie się bergamotą. Owoce jej wyborne, z silnym, przyjemnym zapachem, bardzo słodkie, kształtem i kolorem przypominają równocześnie pomarańczę i cytrynę. Rośnie w okolicach Neapolu i na Sycylii. Skóra jej owoców służy do wyrabiania olejku bergamotowego, a kora drzewa do wykładania bombonierek, którym nadaje subtelną woń. Olejek bergamotowy, zawarty w łupinach owoców tej odmiany, otrzymujemy przez wyciskanie.

Ze 100 sztuk owoców wyciąga się zgórą decygram bardzo wonnego olejku, który oczyszcza się przez dystylację. Zabarwienie jego jest zielono-żółte, przezroczysty ten olejek sprowadzany jest do nas z Neapolu, Livorno i Tryjestu, ma zastosowanie głównie do pomad, perfum, mydeł i wody kolońskiej. Nie znosi światła, to też przechowuje go się w miedzianych fiaskach w ciemnych piwnicach. Produkcja roczna na Sycylii wynosi 100.000 kg. i jest głównym źródłem dochodu mieszkańców tamtejszych. A teraz po różnorodnych użytkowaniach porzuci pełnego kwiatu i złotem promieniejących owoców, które czynią z ogrodów, dzie kwitną i dojrzewają równocześnie, krainę z zaczarowanej bajki, duch czasów obecnych dążący do użytkowania wszystkiego, nawet tego, co dawniej bez skrzułów wyrzucano, wynalazł, że wysuszone skórki pomarańczowe stanowią doskonały palny materiał. to też używają je na południu na podpałkę, zwłaszcza tam, gdzie pokój ogrzewa się nie wygasającym ogniem na kominku.

Garść suchych skórek daje płomień trzaskający, aromatyczny, niebieski, od którego prędko zajmuje się drzewo, lub węgiel. Ładny jest też pomysł, robienia kwiatów ze specjalnie wysuszonych i spreparowanych skórek pomarańczowych, a choć nie przedstawia on poważnych korzyści, niemniej stanowi miłą ozdobę mieszkania w porze kiedy brak świeżych kwiatów. Na zakończenie wspomnę jeszcze o wielkiej wartości drzewa cytrynowego, cenionego wysoko w wyrobach meblowych na mozaiki, inkrustacje i forniry. Z pewnego nawet gatunku drzew z rodziny cytrynowych wyrabiają bardzo poszukiwane i cenne meble.

INDYKI

Indyki są gatunkiem drobiu, zasługującym na jak najszerze rozpowszechnienie w naszych gospodarstwach wiejskich, ze względu na swą wysoką wartość użytkową. Do Europy zostały sprowadzone już w 16 wieku ze swej ojczyzny — Ameryki północnej. Wkrótce poznano ich zalety, przedewszystkiem dobroć mięsa: stały się też ulubionem pieczysem, zwłaszcza we Francji i w Anglii. Chów indyków jest też w krajach tych ważną gałęzią produkcji większych i mniejszych gospodarstw rolnych. U nas indyki spotyka się często, ale rzadkością jest chów zakrojony na szerszą skalę i traktowany jako produkcja dochodowa. Obawiamy się najczęściej strat przy wychowaniu młodych, co jest zupełnie niesłusznym, bo jeżeli damy im odpowiednie warunki, możemy się spodziewać nie większych strat, niż przy wychowie innego drobiu.

Chowane przeważnie u nas indyki bronzowe, zwane często Mamutami amerykańskimi, są zwykle mieszańcą, mającą niewiele wspólnego z czystą rasą Mamutów. Nie należy jednak gardzić nimi, gdyż mają swoje dobre strony; nie osiągają wprawdzie takiej wielkości i wagi, ale są wytrzymalsze w młodości. Z ras, nadających się do większej produkcji, najodpowiedniejszą są Mamuty, ponieważ dają dużo mięsa pierwszorzędnej jakości i są odporne i zahartowane nawet w niezupełnie odpowiednich warunkach. Indyki białe chowają się u nas również dobrze, są jednak delikatniejsze i znacznie od Mamutów mniejsze. Czarnych indyków rasy Norfolk nie spotykamy u nas, chyba pojedyncze okazy, traktowane jako rzadkość amatorską. Chów indyków na większą skalę powinniśmy zaprowadzać tam, gdzie możemy ptakom tym zapewnić dużo przestrzeni. Swoboda ruchów jest jednym z najważniejszych warunków dobrego ich wychowu. Doskonale przystosowują się one nawet do półdzikich warunków życia, w starych parkach, w przyległych do zabudowań niewielkich lasach (w dużych nie chowalibyśmy dla siebie) i na pastwiskach. Indyki dorosłe są stanowczo najodporniejszym gatunkiem naszego drobiu, nie szkodzą im żadne słyty, ani chłody. Pomieszczenia dla indyków powinny być obszerne, przewietrzne i wysokie. Najlepiej nadają się w tym celu różne stare szopy, jeżeli oczywiście nie możemy zbudować odpowiednich kurników. Grzędy urządzać trzeba możliwie najwyżej. O ile warunki pozwalają na to, nie powinniśmy indyków pomieszczać z innym drobiem, ze względu na wyjątkową ich złośliwość. Zwłaszcza stare indory są groźnym wrogiem dla piskląt nietylko innego drobiu, ale nawet i własnych. Ponieważ ptaki te odznaczają się dużą siłą, zdarza się niejednokrotnie, że robią znaczne spustoszenia wśród kur i kaczek. Ze względu na złośliwość starych samców, lepiej nie trzymać indorów ponad 3 lata. Nie robimy w ten sposób żadnego poświęcenia, gdyż indyki 2—3 letnie są najodpowiedniejsze do rozpłodu, w tym też czasie najlepiej się tuczą, łatwo je więc zbyć bez straty. Stadka rozplodowa powinna składać się z 5 indyczek i jednego indora. Jeżeli chowamy dużo sztuk i stada chodzą swobod-

nie na pastwiskach, wystarcza jeden samiec na 9—10 samiczek. Wielki nacisk musimy [położyć na częste sprowadzanie samców z obcych gniazd. Chów w pokrewieństwie fatalnie odbija się na odporności piskląt i jest najważniejszą przyczyną niepowodzeń w wychowie indyków.

Jeżeli chowamy zwykle indyki bronzowe, najlepiej sprowadzać Mamuty, gdyż w ten sposób uszlachetnimy zwykle indyki w kierunku dla nas pożądanym. Najtaniej i najprościej możemy osiągnąć cel, sprowadzając co rok jaja rasowych Mamutów pod jedną nasiadkę. W ten sposób wychowamy sobie sami na każdy sezon pewną ilość samców obcej krwi.

Indyczki są doskonałymi matkami; cierpliwe i troskliwe wodzą długo swe pisklęta. Jaja znoszą na wiosnę, przeważnie w marcu (niejednokrotnie na jesieni drugi raz). Zaraz po wyniesieniu należy je nasadzać, gdyż i tu, jak u innego drobiu, najlepsze rezultaty dają wczesne lęgi. Przy dobrej opiece nie powinniśmy się dla piskląt obawiać wiosennych chłódów. Jako nasiadki indyczki są wprost niezrównane. Jedyne ich wady, to — często zbyt gorliwość (nie chcą schodzić z gniazd) i za duży ciężar (gniotą jaja). Można temu zaradzić, wybierając sztuki lżejsze i kontrolując codziennie posiłek i spacer. Dogłądanie nasiadek powinno być powierzane stale jednej osobie, aby ptaki przyzwyczyły się do niej, gdyż najczęściej są płochliwe i łatwo się denerwują, co bynajmniej nie jest pożądanem.

Jeżeli siedzi kilka indyczek w jednym pomieszczeniu — nie powinny widzieć się wzajemnie. Pod indyczkę kładziemy 20 jaj, na których siedzi ona 28 — 29 dni. Ważną zaletą indyczek jako nasiadek jest to, że mogą one siedzieć kilka razy w roku bez szkody dla zdrowia, a nawet mogą wyprowadzić 2 lęgi bezpośrednio po sobie (o ile zabierzemy pisklęta z pierwszego lęgu). Przytem indyczkę można zawsze, w każdej porze roku, nakłonić do siedzenia na jajach. Jest na to kilka sposobów. Najczęściej jest używany dość barbarzyński sposób wyskubywania pierza z podbrzusza i parzenia miejsc tych porczywą. Dotknięcie chłodnych jaj (próbnych) sprawia ptakowi ulgę i zasiadzi się zwykle na dobre. Stosowane również upajanie indyczek alkoholem jest stanowczo dla indyczek szkodliwe. Najlepiej postawić samice na gnieździe w mrocznym pomieszczeniu, przytrzymać ją i wykonywać przed jej oczyma tak długo jakiś ruch jednostajny (np. zataczać ręką w powietrzu niewielkie kółka), aż sama zasiądzie.

Jest to najnaturalniejszy i zupełnie nieszkodliwy sposób, na który używamy jedynie trochę cierpliwości i czasu od 20 do 50 minut.

Zalety indyczek, jako nasiadek spowodowały to, że używamy je chętnie do wylęgania wszystkich gatunków drobiu. Gniazda ścielamy, jak dla kur, tylko odpowiednio większe. Pielęgnowanie nasiadek polega, jak i u innego drobiu, na regularnem podawaniu łatwo strawnego pokarmu (jęczmień, trochę siekanej zieleniny, chleb pokruszony) i świeżej wody, wreszcie na dopilnowaniu, aby schodziły z jaj i nie zanieczyszczały gniazda. In-



dyczki do rozplodu i wylęgu można używać do 8—9 lat (lepiej tylko do 5-ciu), najmniej, jednak, dwuletnie.

Młode po wykluciu są bardzo delikatne i niezaradne. Najlepiej do 3 tygodni trzymać je wraz z matką w czystym, suchym, widnym i ciepłym pomieszczeniu, wysypanem suchym piaskiem. Baczność trzeba zwrócić uwagę, aby był stały dopływ świeżego powietrza. Zabezpieczamy w ten sposób małe od zmian atmosferycznych i wilgoci, na co są bardzo wrażliwe. Żadne hartowanie w zimnej wodzie po wylęgu nie powinno mieć miejsca, gdyż celu nie osiąga, a jest często powodem śmierci piskląt. W tym czasie indyczęta są bardzo jeszcze niezaradne, nie potrafią same sobie wys. ukiwać pożywienia, niewiele więc odczuwają przebywanie w zamknięciu. O ile pogoda jest sprzyjająca, można je w tym czasie (nie wcześniej niż 10-go dnia) potrosze wypuszczać, zawsze jednak na bardzo krótko. Dopiero po upływie 3 tygodni mogą przebywać na dworze, od obeschnięcia rosy, aż do godz. 4 tej popołudniu. Naturalnie jeżeli pogoda jest dobra.

Do chwili koralenia musimy stale baczyć, aby nie narażać indycząt na rosy, deszcze, silne wiatry, chłody i upały. Koraleniem się nazywamy okres, w którym zachodzi szereg zasadniczych zmian w organizmie indycząt. Nazewnątrż objawia się to zanikaniem puszki na główce, a tworzeniem się nowych fałd i brodawek skórnych, zwanych koralami. Przemianom tym towarzyszy ogólne osłabienie i szczególna skłonność do chorób, trzeba więc w tym czasie jeszcze baczniejszą zwrócić uwagę na pisklęta. Niektórzy lekarze weterynarii zalecają dawanie w okresie koralenia proszku Miłeta jako domieszki do pożywienia, co ma być podobno bardzo skutecznym.

Koralenie rozpoczyna się około 8-go tygodnia życia i trwa do 12-go — 14-go tygodnia, poczem indyki, jak już wspominaliśmy, stają się najwytrzymalszym gatunkiem drobiu, odpornym na wszelkie zmiany atmosferyczne.

Racjonalne żywienie piskląt stanowi jedno z podstawowych starań o ich zdrowie. Pierwszym pożywieniem powinny być mrówcze jajka, albo serek jajeczny, przyrządzony jak dla kurcząt. Drugiego dnia mogą dostać już drobną kaszę jęczmienną (lepiej zaparzona) z siekanym zielskiem (pokrzywa, krwawnik, szczypior, sałata i t. p.). Od 3-go dnia można z pożytkiem podawać świeży twaróg. Począwszy od 5-go dnia kasza jęczmienna może być zastąpiona śrótem. Pożywienie białkowe jest b. ważne. Od samego początku musimy się starać o mrówcze jaja, które stanowią najlepszy i najpożywniejszy przysmak małych. Należy też podawać robaki i różne odpadki mięsne w możliwie dużej ilości. Po 2 tygodniach odpowiednia już jest i osypka pszenna do siekanej zieleniny, której indyczęta p. trzebiują zawsze niezmiernie dużo. Doskon. le wyniki osiągamy przez dosypywanie do pożywienia maki kostnej i sproszkowanego węgla drzewnego.

Dość rozpowszechnione jest używanie, jako domieszki mielonego pieprzu, któremu przypisują wysokie własności dietetyczne. Nie jest to jednak konieczny dodatek, przekonałam się, że stadka, które

pieprzu nie dostawały, nie chorowały również, a wyrosły i rozwijały się równie dobrze, jak te, którym pokarm pieprzono. Do picia dobrze jest podawać najpierw świeże mleko z pod wirówki, lub zbierane, po kilku dniach — czystą wodę. Po dostaniu koralu mogą młode chodzić na paśnik ze starszemi sztukami. Dobre pastwisko jest bardzo ważnym czynnikiem przy chowie indyków i powinno nawet decydować o tem, czy opłaca się produkcja indyków na większą skalę. Ponieważ podstawą w żywieniu indyków jest pasza zielona, pastwisko musi być dobrze zarośnięte soczystą roślinnością. Nie powinien znajdować się na nim rośliny trujące, jak tojad, bieluń i inne, gdyż indyki jako bardzo żarłoczne i niewybredne ulegają często zatruciu. Na pastwisku powinny być miejsca zacienione (drzewa, zarośla). Jeżeli ich niema, trzeba porobić sztuczne osłony (np. wysokie płoty z chróstu), gdyż indyki, a zwłaszcza młode są bardzo wrażliwe na skwary słoneczne.

Przy żywieniu pastwiskowym należy młodzieży dodawać 2 razy dziennie pożywienie dodatkowe, np. ziemniaki gotowane ze śróta, lub osypką pszenną, starszym sztukom wystarczy raz dziennie dawać ziarno, najlepiej jęczmień, lub owies. Po żniwach powinno się indyki wypuszczać na rżyska, wybierając starannie ziarno, a nawet wiele chwastów, z korzyścią dla siebie i dla rolnika.

Począwszy od jesieni, możemy spasać z dobrym skutkiem liście z plonów polnych, np. buraków, kapusty i t. p. i siekane okopowizny (buraki, marchew i t. p.), co jest ulubioną paszą indyków. Ważną rzeczą jest, aby indyki, chowane w większej ilości, miały stały dozór; na wiosnę i na początku lata trzeba stale czuwać nad młodemi stadkami, a i później należy baczyć, aby się nie biły, kaleczyły i nie ginęły, gdyż straty odbijają się poważnie na dochodowości produkcji. O tuczeniu i zbycie powiemy na innym miejscu, przy omawianiu użytkowości drobiu.

H. Biiska.



PARĘ SPOSOBÓW PRZYPRAWIANIA ZIEŁONEJ SAŁATY.

Nigdy sałaty nie należy zaprawiać wcześniej, a nawet solić wcześniej, — szczególnie młoda, listkowa zupełnie przez to smak traci. Przed samem podaniem wyjąć sałatę z wody, ułożyć na serwecie, wziąć serwetę za cztery nogi, parę razy mocno nią wstrząsnąć, cała woda pozostanie w serwecie, a sałata pozostanie świeża i nie pognieciona. Ułożoną na salaterce zalać jedną z następujących przypraw, wymieszać i natychmiast podawać. 1) Jajko ugotować na twardo, oczyścić z łupinki, oddzielić żółtko, białko pokrajać w paski. Żółtko utrzeć na miseczce z łyżką francuskiej musztardy, łyżką oliwy i sosem z całej cytryny, jeśli sos zbyt gęsty dodać parę ły-

DR. MED. J. ŚWITALSKA

Choroby skórne i kosmetyka lekarska. Ordyn. wyłącznie dla kobiet od 5—7 dla pan z prowincji w święta od 2—3. Krucza 31 m. 3 tel. 102-77

żek zimnej wody gotowanej. Sałatę nieco osolić, posypać krawaniem białkiem, zalać sosem, wymieszać i natychmiast podawać. 2) Jajko ugotować na twardo, oczyścić, oddzielić białko od żółtka, białko pokrajać w paski. Żółtko utrzeć z łyżką francuskiej musztardy, łyżką oliwy, odrobiną pieprzu, dodać trzy włoskie orzechy drobno utłuczone i trzy łyżki dobrej, kwaśnej śmietany. Sos ten dobrze uwiertić, dodać posiekane białka. Sałatę lekko osolić, połączyć sosem, wymieszać i natychmiast podawać. 3) Łyzeczkę koperku zielonego i tyleż szczypiorku drobno usiekać i utłuc w moździerzu z żółtkiem na twardo ugotowanym, rozetrzeć z łyżką oliwy i łyżką dobrego octu, sałatę uprzednio osoloną połączyć tym ładnie zielonym sosem, wymieszać i po wierzchu posypać posiekanem białkiem.

WIOSENNA SAŁATKA NA PRZEKĄSKĘ.

Pięć kruchych kartofli ugotować w łupinkach, obrać i pokrajać w drobną kostkę. Przygotować dwa krzaczkę zielonej, młodej sałaty, i pokrajać w drobniuchne talarki pęczek młodej, różowej rzodkiewki. Ugotować jajko na twardo, oczyścić, oddzielić żółtko od białka, białko pokrajać w paski. Żółtko utrzeć z łyżeczką ostrej, najlepiej domowej musztardy, osolić, dodać łyżeczkę cukru, łyżkę oliwy, łyżkę octu i pół szklanki śmietany, ucierać, aż się dobrze zmiesza, z sosem tym wymieszać kartofle i rzodkiewki, dać postać pół godziny. Na salaterce ułożyć większe listki sałaty, na nich kartofle i rzodkiewkę z sosem, drobniejsze listki sałaty pokrajać w paski i posypać na kartofle, na to białka pokrajane, a na sam wierzch łyżeczkę zielonego szczypiorku dobrze posiekanego, podawać natychmiast, aby sałata nie więdła.

WIEPRZOWINA NA SZTUKĘ MIĘSA.

Na wieprzowinie robi się najsmaczniejszy krupnik, zupa cytrynowa, włoska z makaronem, pomidorowa i cały szereg innych, — samo mięso daje wyborną sztukę mięsa. Kawał nietłustej szynki zadniej, łopatki, lub nietłustego boczku wygotować, jak zwykle z włoszczyzną na smak do zupy, uważając, aby mięso nie było przegotowane nadto, gdyż rozpadające i włókniste jest niesmaczne. Korzonek chrzanu utrzeć na tarce, osolić, posypać łyżeczką cukru, dać tak postać z pół godziny. Łyzkę maki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić rosołem do gęstości zawiesistego sosu i zastudzić zupełnie. Przed samem podaniem gorącą wieprzowinę pokrajać na plastry i ułożyć na półmisku. Białą, zimną sos mieszać z chrzanem i paru łyżkami dobrej, gęstej, kwaśnej śmietany i podać w sosierce. Wieprzowina powinna być bardzo gorąca, a sos zupełnie zimny, co razem daje wyborną kombinację.

OZORKI CIEŁĘCE.

Ozorki cięte wrzucić we wrzącą wodę, zagotować raz, wodę odlać i nastawić z zimną, włoszczyzną, cebulą, listkiem pieprzu i gotować aż zmiękną. Rosół z nich ma mało smaku, można jednak go użyć na jaką zabielańkę. Zasmażyć łyżkę maki w łyżce masła, rozprowadzić rosołem, zaprawić karmelem, wsypać łyżeczkę cukru, cytrynę obraną ze skórki i pokrajaną w talarki, garść rodzenek i nieco skórki cytrynowej utartej na tarce, zagotować raz, włożyć w to ładnie pokrajane ozorki, rozegrzać tylko w sosie i wyłożyć na półmiskę. Do tego podać grzanki przysmażone z bułki, lub ryż na sypko ugotowany z masłem.

BIGOSIK W RUMIANYM SOSIE.

Po większem przyjęciu, kiedy pozostaną resztki różnych mięs i wędlin, można je zużytkować na smaczną potrawę. Pokrajać wszelkie mięsa w centymetrową kostkę. Na pół kilo takich mięs, zasmażyć łyżkę maki w łyżce masła, rozprowadzić rosołem lub wodą do gęstości i zwykłego sosu, jeśli są resztki sosów od mięs pieczonych, dodać ich parę łyżek, wcisnąć sok z cytryny, lub włożyć cytrynę obraną z wierzchniej skórki i pokrajaną w cienkie plasterki, zakolorować karmelem, dodać herbatnią łyżeczkę cukru, osolić sos do smaku, włożyć pokrajane mięso, zagotować raz tylko i podawać do gorących kartofli z wody lub też obłożyć na półmisku przysmażonymi na maśle grzankami z bułki. Potrawa śniadaniowa, lub kolacyjowa.

KONFITURY Z POMARAŃCZOWYCH SKÓREK.

Po liczniejszych przyjęciach, po świętach, kiedy się używa w domu dużo pomarańcz, pozostają skórki, która zwykle służba wyrzuca do śmietnika. Jest to marnowanie doskonałego materiału na konfitury i to na konfitury bardzo pożyteczne jako dodatek do ciast, kompotów, legumin itp. Można skórki pomarańczowe zbierać w ciągu dni kilku, składając je do dużego słoja i zalewając czystą, zimną wodą, którą codzień zmieniać należy. Gdy mamy dostateczną ich ilość, należy je odcedzić, osuszyć na płótnie, zważyć i pokrajać w cienkie paski. Na kilo skórek bierzemy kilo cukru, jeżeli konfitury mają być użyte do potraw, półtora kilo cukru, jeśli mamy ich używać do herbaty, aby w ostatnim wypadku miały więcej syropu. Na kilo cukru dwie szklanki wody, zagotować raz syrop, wrzucić skórki, dać raz zawrzeć mocno, poczem odsunąć na brzeg blachy i smażyć wolno, aż się skórki staną przezroczyste. Przed dosmażeniem wcisnąć nieco soku cytrynowego. lub wsypać herbatnią łyżeczkę kwasu. Jeżeli konfitura ma być na dłuższą konserwę, dodać na każde kilo pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, jeśli konfitura ma być użyta w ciągu paru miesięcy jest to zbyt konieczne. Ostudzić w miedniczkę, co daje ładny kolor i składać w słoiki, jak zwykle.

Pań Elżbieta.

DOBRE RADY

Wiemy jaką plagą są szczury w wiejskich zwłaszcza gospodarstwach i jak trudno je wytruć. Otóż jeden ze środków mało znanych, a niezawomych jest użycie rośliny, zwanej pospolicie psie jęczminki (*Cynoglossum officinale*), do zapachu której szczury mają taki wstręt, że budynek, w którym będzie rozstrząśnięta, wszystkie w jednym dniu opuszczają. Roślina ta rośnie na łąkach, przy płotach i w podwórzach. Zbierać ją trzeba na początku lata, kiedy ma najsilniejszy zapach. Rozgniata się łodygi i rozsypuje w miejscach, które oczyścić chcemy, najważniejsze, aby od razu we wszystkich budynkach rozrzucić, inaczej bowiem uciekną z jednego do drugiego.

* * *

Drzwi smolą się najbardziej przy klamkach, skoro się tylko spostrzeże, że zaczynają się brudzić, wziąć benzyny na miękki gałganek, dobrze nim wytrzeć przysmolone miejsce, a momentalnie brud zniknie.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Dla Nr. 21 - 96.

Jako podarki dla mężczyzny mogą służyć: poduszka na kanapę, skórzany wytłaczany portfel, wypalana ramka do fotografii, malowane lub rzeźbione pudełko do papierosów, albo do kart, szalik jedwabny zrobiony na cieniutkich drutach, albo szydełkiem, chusteczka batikowana do kieszonki, włońcu najwspanialszy z prezentów, kamizelka zrobiona ręcznie z włóczki z jedwabnymi szlakami, tak bardzo dziś modny „pull over“.

Pani M. C. Chmielnik-Drugnia Dywan pluszowy dostanie Sz. Pani w firmie Kiltynowicz, Warszawa, Mazowiecka Nr. 16. Można dostać we wszystkich kolorach na metry po 30 zł. metr. Gotowy i odpasowany 3 m. na 1,50 m. zł. 80, większy 100 zł. i wyżej zależnie od rozmiaru.

Pani A. D. ul. Raszyńska.

Hortensję tak jak zresztą i inne rośliny podczas kwitnienia podlewa się obficie, po okwitnieniu trzymać w miejscu nie bardzo słonecznym, chłodnym, podlewać średnio. Fiołek alpejski po odpadnięciu liści z końcem maja przysypać na 5 cm. grubo pulchną, lekką ziemią i prawie bez podlewania trzymać w cieniu. W sierpniu na nowo powinien zacząć się rozwijać. Wtedy przesadza się do doniczek ze świeżą ziemią.

Azalia po okwitnieniu wymaga jasnego, a chłodnego miejsca. Młode rośliny przesadza się co roku, starsze co 3 do 4 lat. Strzec przed ostrym słońcem. Cebulki hiacintowe, po przekwitnieniu ścinać, zasuszyć. We wrześniu sadzić w grunt, a na wiosnę zakwitną.

Pani B. M. Aleksandrów Kujawski.

Jedyny zakład taki, o jaki Sz. Pani chodzi, jest Tow. opieki nad nauczycielkami w Zielonce. O bliższe informacje niech się Sz. Pani skieruje do Zarządu, Tow. Op. nad nauczycielkami w Zielonce, Warszawa, Bracka 20, do W-go P. Prezesa Bielskiego. Tam udzieli Pani wszelkich informacji.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Irenie.

„Mój Krem“ kosztuje słoik zł. 6, puder 2 zł. 50 gr.

Jadwiga Opaczko.

Cierpienie Pani jest tego rodzaju, że bez zobaczenia i zbadania tak na odległość radzić nie można. Bezwzględnie należy, nie zwlekając, udać się do lekarza.

Pani B. Lublin.

Jest bardzo ważną kwestją, jak i czym myć włosy. Polecam następujący przepis: 1 litr wody, 2 żółtka, 1 łyżeczka bo-raksu, 1 łyżeczka salsmiaku i Sapopix 100 gr. wyrobu Karpińskiego. Zrobić pianę na głowie na 5 minut, spłókać, znowu zrobić pianę na 5 minut i dobrze spłókać w paru wodach z dodaniem octu 2 łyżki na miednicę wody. Zasadniczo dwóch trzeba czynników do dobrego umycia włosów: odpowiedni środek i dokładne spłókanie.

Babce z Poznania.

Na wszelkie rodzaje bólów bardzo dobry jest następujący środek:

Zewnętrznie rozcierać miejsca bolące na noc i ciepło zawijać. Naturalnie, najlepiej poradzić się u miejscowego lekarza, lecz jeśli Szanowna Pani absolutnie nie jest w stanie wyjechać z domu, a lekarza niema w pobliżu, to recepta wyżej podana może oddać nieocenione usługi.

Stroskanej matce.

Niestety, w obecnym czasie spotyka się często upławy u pańienek, zwłaszcza w wieku szkolnym. Należy natychmiast udać się do lekarza specjalisty i zrobić analizę. Jeżeli analiza nie będzie zupełnie wykazywać specjalnych bakterij, które naj-niewinniej może dziecko dostać przy wytarciu się zakażoną gąbką, ręcznikiem, wykapaniu się w zakażonej wannie, lub przy użyciu ustępu, mimo to leczyć trzeba.

Wszelkiego rodzaju upławy mogą być na tle anemji, przepracowania, chorób kobiecych i t. p. Najczęściej jednak spotyka się je w wieku szkolnym z anemią, lecz się wtedy ogólnie, zwracając uwagę na stan zdrowia i miejscowo przez odpowiednie przepiókiwania.

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 17

348. Palto z kasha brązowego, przybrane wełną w kratę.
349. Gładkie palto z jaśniejszym kołnierzem.
350. Palto angielskie z nieprzemakalnego materiału.
351. Paltocik w kratę, dla czternastoletniej pańienki.
352. Sukienka z woalu, przybrana gipiurą dla sześciolat-niej dziewczynki.
253. Paltocik z piaskowego sukienka dla siedmioletniej dziewczynki.
354. Kostjum granatowy, przybrany jaśniejszym suknem naszywanym granatowymi pliseczkami.
355. Kostjum z kasha koloru ciemno zielonego.
356. Suknia letnia z woalu w drobny deseń, plisy ciem-niejsze
357. Suknia letnia z płócienną w kratkę.
358. Sukienka dla siedmioletniej dziewczynki.
359. Sukienka z dwóch materiałów dla pięcioletniej dziewczynki.
360. Sukienka przybrana aplikacją dla dziewczynki dwu-nastoletniej.
- 361—362—363. Modne fasony kapeluszy.
364. Sukienka dla czteroletniej dziewczynki.
365. Ubranko dla chłopca. Majteczki granatowe, bluzka z surowego jedwabiu.
366. Sukienka płócienna, przybrana barwnym wyszyciem, dla dziewczynki ośmioletniej.
367. Ubranko płócienne dla chłopczyka.
368. Sukienka barwnie wyszywana dla małej dziewczynki.
369. Wzór na ekran, lub makatę, haft kolorowy, wielkość nat. 70 × 65 cm.
370. Haft na dziecienną sukienkę i czapeczkę, wielkość naturalna.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Do-datku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzy-maniu przy zamówieniu należności w znacz-kach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstą-pić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspól-nego i mogą być dostarczone w wielkości natural-nej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — ser-wetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wy-mienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“ nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumera-torek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALIE



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

TOWARZYSTWO **FR. KARDIŃSKI** W WARSZAWIE



Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

ZBIÓR TEN JEST NIEZBĘDNY W KAŻDYM OSZCZĘDNYM I RZĄDNYM DOMU

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

DAJĄ GĘSTĄ NIEWYSYCHAJĄCĄ PIANĘ

M Y D Ł A

przetłuszczone

DO GOLENIA

Wyrobu Laboratorium Apteki

M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175



Jedna Łyżka Stołowa do Jednej Bluzki

Jedna łyżka Lux'u rozpuszczona w gorącej wodzie daje obfite i miękkie mydliny. Lux jest oszczędny w użyciu, gdyż jego cienkie, przezroczyste płatki rozpuszczają się całkowicie. W mydlinach Lux'u nie ma ani jednej nierozpuszczonej cząsteczki. W Luxie można prać bez obawy wszystkie delikatne tkaniny. Lux nie skurczy materiałów wełnianych lub flaneli. Lux nie zółci jedwabiu.

LUX

KUPON Do p. REIDA. Skrzynka pocztowa 479. Poczta Główna. Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres

Mydlarnia w której zwykłe czynię zakupy

Kupon ważny aż do odwołania.

Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

„Bluszczy”

Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy **LEVER BROTHERS LIMITED (Anglia)** L. REID, Warszawa, Moniuszki 11

Tel. 204-87 i 186-08

Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i mydlarniach

178

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{4}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,

$\frac{3}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,

$\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50 % drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.